

PLCZ

Local Press Awards

Sasiedzkie spotkania lokalnej publicystyki

Pomysł, układ Agata Gańko-Sobiecka
Projekt okładki i stron działowych Bogumiła Płachecka
Redakcja Sylwia Szparkowska
Redakcja techniczna i skład Łukasz Mazurkiewicz

Prawa autorskie do tekstów zamieszczonych w publikacji przysługują ich autorom i właścicielom

Organizator konkursu Fundacja Press Club

Współpraca Syndikát novinářů ČR

Projekt jest współfinansowany przez Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach
cyklicznego programu "Forum polsko-czeskie - wspieranie rozwoju stosunków polsko-czeskich"

Warszawa 2011

SPIS TREŚCI

MARCIN LEWICKI	
Konkurs PL-CZ Local Press Awards	9
Polityka i instytucje lokalne	
BARTŁOMIEJ KURAS	
Zjazd Orawian nie dla Słowaków	13
HANA KUBOVÁ	
Ksiądz poskarży się na radnego do arcybiskupa	16
AGNIESZKA POSPISZYL	
Maria Feliniak za społeczną pracę dostała 25 tysięcy!	18
JANUSZ WŁODARCZYK	
Przydzielają pieniądze swoim stowarzyszeniom	20
Lokalne problemy społeczne	
HALINA SZCZOTKA	
Bez wody i toalety. Tak się mieszka w Trzyńcu	25
MARIAN DZIADUL	
Mamusia z nożem w ręku, tatuś powraca na czterech	28
NATAŠA VAVŘÍKOVÁ ŠMATOVÁ	
Miejsce, w którym Renata jest zadowolona	32

ŁUKASZ CIEŚLA	
Mariusz T., czyli specjalista od trudnych mieszkań	35
MILAN HLOUŠEK	
Szeryf i były więzień z Chodova	40
ANDRZEJ SZATAN	
Już nie ma polej, polej...	44

Lokalna historia, kultura i dziedzictwo

BARTŁOMIEJ KURAS	
Czy ten Karłowicz to był hitlerowiec?	51
LUBOŠ PŘÍHODA	
Rok 1969 w Libercu	55
JACEK DROST	
Chłop babie robi koronkę	62
LIBOR MICHALEC	
Trapiści na Toužimsku	66
BEATA BIELECKA	
Trzy cuda nad Odrą. Granica połączyła dwa światy	68
JAROSLAV ŠTĚPANÍK	
To dziwne słowo šalina	73

Gospodarka lokalna

LIBOR MICHALEC	
Biorolnicy z Valča	77
BARTŁOMEJ KURAS	
Studio nie z tego świata	79
MARTYNA RADŁOWSKA-OBUSNÍK	
Powietrze w regionie: koniec z demagogią nastaje czas faktów	83

BARTŁOMIEJ KURAS	
Betonowy Dunajec	86

Nagroda czytelników

FILIP ŽBIKOWSKI	
Fantastyczna impreza	91
KRISTIÁN ŠUJAN	
Kobieta podarowała okradzionemu emerytowi dziewięć tysięcy korun	93
MILENA UŠCIŇSKA	
Rząd załatwił szwaczki?	94
JANUSZ WŁODARCZYK	
Przydzielają pieniądze swoim stowarzyszeniom	98
ADAM HUDEC	
Potrawy hradeckie: włochate bosáki, žahour i vejmrda	99
MILAN HLOUŠEK	
Szeryf i były więzień z Chodova	102
Autorzy tekstów:	103

MARCIN LEWICKI

Konkurs PL-CZ Local Press Awards

Czy potrafisz, drogi Czytelniku, wymienić z marszu trzy tytuły ogólnokrajowych dzienników? A teraz spróbuj zrobić to samo, ale z tytułami gazet lokalnych. Jeśli się udało - świetnie. Jeśli nie - właśnie odkryłeś niszę na lokalnym rynku wydawniczym - wystarczy zebrać odpowiedni kapitał i zakładać gazetę. Jeśli chwilowo nie dysponujesz wolnymi pieniędzmi, zastanów się chociaż, czy naprawdę w twoim otoczeniu nie ma gazet lokalnych. A może po prostu interesujesz się tylko wielką polityką i wydarzeniami, które dzieją się gdzieś daleko. Albo media lokalne wprawdzie istnieją, ale są tak słabe, że nie docierają do ciebie.

Zostawiam cię z tymi pytaniami, bo w publikacji, którą mam przyjemność polecić, znajdziesz teksty autorstwa dziennikarzy, dla których wydarzenia, dziejące

się wokół nich są ważniejsze, niż globalne perturbacje gospodarcze czy kolejne rozszady w parlamencie.

Media lokalne pełnią bardzo istotną, choć jednocześnie często niedocenianą rolę. Są przede wszystkim niezbędnym elementem składowym społeczeństwa obywatelskiego, którego budowa, czy może raczej odbudowa, zaczęła się w obu naszych krajach ponad dwadzieścia lat temu. Są jego narzędziem, tubą a czasami tarczą lub kontrolerem. Integrują wokół jakiejś idei, działania, docierają tam, gdzie szary obywatel dotrzeć nie da rady, czasem bronią ludzi przed krzywdzącym działaniem władzy publicznej lub lokalnych notabli, demaskują działania szkodliwe dla społeczności, którą reprezentują. To z pewnością nieco wyidealizowane spojrzenie, ale właśnie do ideału dążyć należy.

Autorzy publikacji w niniejszym zbiorze to dziennikarze mediów lokalnych. Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jak wygląda ich praca na co dzień? Na pozór tak samo, jak każdego innego dziennikarza – zbierają informacje, tworzą tekst, publikują go. Tak samo podlegają naciskom, zmagają się z trudnościami, popełniają błędy. Nie zawsze jednak stoją za nimi potężni wydawcy, zastępy prawników i wielkie redakcje.

Konkurs, którego efektem jest ta publikacja, nagradza teksty traktujące o lokalności w wielu wymiarach: politycznym, historycznym, kulturalnym czy gospodarczym. Przy tym pojęcie lokalności, po wstąpieniu Polski i Czech do UE ulega przeobrażeniom. Coraz więcej realizowanych projektów nie jest już krępowane granicą, pozostającą w odniesieniu lokalnym tylko umowną kreską na mapie, albo tabli-

cą informacyjną na drodze, z której zniknęły budki strażnicze. Dzięki temu przedsięwzięcia kulturalne, gospodarcze czy społeczne nabierają zupełnie innego wymiaru. W ślad za tym rośnie ilość tematów, którymi mogą zajmować się lokalne media, tworząc swoistą synergię.

W imieniu organizatorów pierwszej edycji konkursu „Sąsiedzkie spotkania lokalnej publicystyki” dziękuję wszystkim Autorom nadesłanych prac, a zwycięzcom serdecznie gratuluję. Dziękuję także naszym czeskim partnerom z Syndykatu Dziennikarzy Republiki Czeskiej za współpracę i wsparcie merytoryczne. Czytelnikom zaś gorąco polecam lekturę niniejszego zbioru – jestem pewien, że będzie nie tylko interesująca, ale także wniesie wiele nowego do postrzegania roli lokalnych mediów.

Polityka i instytucje lokalne

BARTŁOMIEJ KURAŚ

Zjazd Orawian nie dla Słowaków

Przypisana mediom rola czwartej władzy, która kontroluje i weryfikuje działania administracji jest szczególnie istotna w niewielkich społecznościach. Administracja na szczeblu lokalnym dysponuje bowiem istotnymi środkami finansowymi – także unijnymi, ma też kluczowe dla życia społecznego kompetencje – kształtuje ład przestrzenny, politykę społeczną, edukacyjną i zdrowotną. W wielu wypadkach na szczebel lokalny przekazane są administracyjne zadania państwa. To dobrze. Decentralizacja struktur państwowych jest, zarówno w Polsce, jak i Czechach jednym z najistotniejszych osiągnięć transformacji. Przekazanie kompetencji na niższy szczebel zwiększa poczucie własności i odpowiedzialności za państwo wśród obywateli. Decentralizacja nie pozostaje też bez wpływu na lokalne media.

Dlatego w tej kategorii nagradzamy teksty, które tłumaczą zmieniającą się rzeczywistość, są użyteczne

w poruszaniu się w skomplikowanych systemach usług publicznych stanowią prawne wsparcie dla obywateli. Przekazanie kompetencji „w dół” w zamierzeniu ma też zwiększać kontrolę społeczną nad działaniami administracji i samorządu. Czy tak jest rzeczywiście? Media lokalne, które pełnią rolę kontrolną wobec władzy nie dysponują ani takimi środkami finansowymi, ani takim wsparciem prawnym jak media działające na szczeblu centralnym. Władza lokalna też dużo częściej usiłuje uzyskać na lokalne media wpływ – albo manipulując rynkiem reklamowym, albo po prostu blokując informacje przekazywane do „mniej przychylniej gazety”. Dlatego w tej kategorii wyróżniliśmy materiały prasowe, które spełniając kryterium rzetelności, podejmują ryzyko wejścia w konflikt z lokalnymi władzami by wypełnić swoją funkcję kontrolną.

Władze gminy Jabłonka organizują I Światowy Zjazd Orawian, ale tylko polskiego pochodzenia, choć ten region leży w większej części na Słowacji. Słowacy zapowiadają interwencję w resortach spraw zagranicznych – polskim i słowackim

Zaproszenie na imprezę, która ma się odbyć w przyszłym roku, ukazało się już na stronie internetowej gminy Jabłonka po polsku i po angielsku: „Światowy Zjazd Orawian to spotkanie ludzi, którzy czują się związani z Orawą, identyfikują się z tą ziemią, szukają tutaj swoich korzeni. To spotkanie Orawian rozrzuconych po całej Polsce i świecie. Ten światowy zjazd pomyślany jest jako wielopokoleniowe spotkanie starszych i młodych Orawian żyjących w Polsce i na emigracji. Serdecznie więc zapraszamy do Jabłonki wszystkich Orawian, tych mieszkających na polskiej

Orawie, ale przede wszystkim tych, którzy w przeszłości z różnych względów musieli opuścić swoje rodzinne strony, zapraszamy ich rodziny, bliskich, ich potomków. Zapraszamy wszystkich, którzy kochają Orawę”. Po słowacku ani słowa, nie ma też nawet wzmianki o tym, że większa część Orawy leży na Słowacji, a mniejszość słowacka mieszka też w polskiej części Orawy.

Z okazji Światowego Zjazdu Orawian w Jabłonce ma stanąć obelisk upamiętniający to wydarzenie z tablicą wyłącznie w języku polskim.

- To jest jakiś absurd. Jak można organizować Światowy Zjazd Orawian bez współpracy ze Słowacją, choć to jest głównie słowacki region. I do tego bez informacji i zaproszenia w języku słowackim, który jest językiem ojczystym zdecydowanej większości Orawian.

Albo władze gminy Jabłonka są bezmyślne, albo umyślnie chcą doprowadzić do pogorszenia stosunków polsko-słowackich. Będziemy w tej sprawie interweniowali w ministerstwach spraw zagranicznych Polski i Słowacji – zapowiada Franciszek Harkabuz, wiceprzewodniczący Towarzystwa Słowaków w Polsce, mieszkaniec orawskiej wsi Harkabuz.

- Jakoś niezręcznie się czuję, że moja własna gmina nie zaprasza społeczności słowackiej do organizacji takiej imprezy. Przecież Orawa to wspólna ziemia Polaków i Słowaków. W dodatku w czasach Unii Europejskiej już bez strzeżonej granicy – dodaje Jan Basisty, prezes koła Towarzystwa Słowaków w Jabłonce.

Władze gminy Jabłonka nie widzą nic niestosownego w swoim postępowaniu. Wicewójt Jabłonki Bolesław Wójcik, którego poprosiliśmy o przedstawienie stanowiska władz samorządowych w tej sprawie, oświadczył jedynie, że zjazdowi „próbuję się nadać kontekst polityczny”. Według niego „trzeba się głęboko zastanowić nad sensem zapraszania Słowaków na zjazd Orawian”.

Wójt Jabłonki Antoni Karlak, inicjator zjazdu, tłumaczy: - Chcemy zorganizować zjazd tylko polskich Orawian, tych mieszkających w naszym kraju i na emigracji. Dlatego przygotowaliśmy zaproszenie tylko po polsku i angielsku. Jeśli to tak wzburzyło Słowaków, to jeszcze zastanowimy się nad formułą zjazdu. Nie może być jednak tak, że Towarzystwo Słowaków będzie rządziło polską Orawą. Zresztą zapraszaliśmy przedstawicieli Towarzystwa Słowaków z Orawy do współorganizacji zjazdu – twierdzi.

Ani Harkabuz, ani Basisty – członkowie władz mniejszości słowackiej na polskiej Orawie – nic o tym nie wiedzą.

- W formule ogłoszonej przez władze gminy Jabłonka, bez podania prawdy o Orawie zamieszkałej w większości przez Słowaków, nie może być mowy o udziale Towarzystwa Słowaków w tym przedsięwzięciu – uważa Harkabuz.

Orawa

Leży w dorzeczu słowackiej rzeki o tej samej nazwie, należącej do zlewni Morza Czarnego. Większa część regionu znajduje się na terenie Słowacji, mniejsza w Polsce. Od zachodu i północnego zachodu Orawa otacza Tatry, graniczy z polskim Podhalem i słowackim Liptowem.

Do 1918 r. Orawa należała do Królestwa Węgier, w którym tereny dzisiejszej Słowacji nosiły nazwę Górne Węgry. Po zakończeniu I wojny światowej Polska i Czechosłowacja toczyły spór o ten region. To wtedy Orawa została podzielona. W 1938 r. Wojsko Polskie, wykorzystując wkroczenie Hitlera do Czechosłowacji, zajęło kolejne orawskie ziemie leżące na Słowacji. Rok później, po wybuchu II wojny światowej, doszło do rewanzu: Słowacy zajęli całą Orawę dzięki współpracy z III Rzeszą.

Po zakończeniu II wojny światowej znów doszło do konfliktu Polski i Czechosłowacji o ten region. Zanim udało się wytyczyć dzisiejszą granicę, dochodziło do zbrojnych potyczek (m.in. o Jabłonkę).

KOMENTARZ

NIE DZIELMY ORAWY

W Alzacji należącej do Francji, z siedzibą Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, nikt nie boi się przyznać, że ten przygraniczny region wiele zawdzięcza także Niemcom. W Tyrolu Południowym, uznawanym za europejski wzorzec poszanowania praw mniejszości narodowych, należącym do Włoch, głośno się mówi o tym, że swoje bogactwo kulturowe czerpie także z Austrii. W obu tych regionach w przeszłości docho-

dziło do narodowościowych konfliktów, tak jak na Orawie.

Zmieniła to Unia Europejska, do której weszły Polska i Słowacja, integrując przygraniczne regiony.

A w Urzędzie Gminy Jabłonka jakby nic o tym nie wiedzieli. Władze polskiej części Orawy nie chcą przyjąć do wiadomości, że to także słowacka kraina. Do Światowego Zjazdu Orawian pozostał jeszcze rok. Oby do tego czasu władze Jabłonki zmieniły zdanie, by impreza integrowała mieszkańców całego regionu, a nie dzieliła ich, wywołując między nimi nowe konflikty.

Miejsce publikacji:

strony lokalne Gazety Wyborczej – Kraków nr 106, wydanie z dnia 09/05/2011 Wydarzenia, str. 3

HANA KUBOVÁ

Ksiądz poskarży się na radnego do arcybiskupa

Bludov: „Robi mi się niedobrze kiedy sobie pomyślę, kto reprezentuje mój Kościół Rzymskokatolicki”. Zdanie to dostało się do zapisu z posiedzenia rady gminy w Bludowie. Jego autor, radny, a jednocześnie parafianin, Stanislav Balík mł. osobiście zażądał jego załączenia do protokołu. Mówił o Karelu Janíčkovi – który w rozwickłym sporze o grunt z gminą reprezentuje kościół rzymskokatolicki, a równocześnie jest przedstawicielem Bludova w KSČM (Komunistyczna Partia Czech i Moraw – przyp. tłum.). Jedno zdanie wywołało jednakże nieoczekiwane zamieszanie.

Spór o grunt toczy się od 1992 roku, a Janíček występuje w nim w podwójnej roli. Jako parafialny negocjator – i w tej roli podpisał wstępny umowę wymiany gruntów parafii z gminą. Jednak ten sam Karel

Janíček, jako radny już tej sprawy nie poparł. Wręcz odwrotnie. Głosował przeciw.

To właśnie było powodem, dla którego Stanislav Balík mł. wypowiedział ów krytyczny osąd. Był on skierowany całkowicie i konkretnie do Janíčka, natomiast wyrwany z kontekstu może być odbierany jako obraza Kościoła. Łapanie się za słówka nabrało zupełnie absurdalnych rozmiarów.

- Jeden z członków parafialnej grupy negocjacyjnej zupełnie poważnie zasugerował mi wyprowadzkę naszej rodziny z Bludova. To powrót nawet nie do lat siedemdziesiątych, ale do pięćdziesiątych, gdy sankcje dotyczyły nie jednostek, ale całych rodzin – stwierdził Stanislav Balík mł. Wyprowadzka rodziny ze wsi jest oczywiście niedorzeczna, parafia nie ma

w tym wypadku żadnej władzy. Lecz już nawet sam fakt, że ktoś może w taki sposób pomyśleć, jest dla Stanislava Balíka zupełnie szokujący.

Choć Karel Janíček był przed listopadem 1989 funkcjonariuszem partii komunistycznej, jest w zasadzie drugą ręką bludowskiego proboszcza. Co więcej, jest on podobno obecnie dobrze obeznany w prawie kościelnym. Stanislav Balík mł. według niego grubo się pomylił. - Ja tylko stwierdziłem, że Stanislav Balík młodszy jako członek parafii rzymskokatolickiej wyraził bardzo nierozsądną opinię, która właśnie według prawa kościelnego mogłaby mieć niesprzyjające skutki dla niego i dla jego rodziny – mówi Janíček. W razie gdyby kościół katolicki uznałby tę opinię za obrazę kościoła, prawo kościelne mówi w takim wypadku o „sprawiedliwej karze”. O jakiej konkretnej, nie wiadomo, w grę mogłaby wchodzić w najbardziej skrajnym wypadku ekskomunika.

Bludowski proboszcz katolicki Hynek Wiesner nie chciał się wypowiadać w tej sprawie. -To było naprawdę bezczelne, nie byłem jednak sam obecny podczas wypowiedzi pana Balíka na radzie. W przyszłym tygodniu o tym całym wydarzeniu będę dyskutował z arcybiskupem w Ołomuńcu – powiedział duchowny.

Stanislav Balík mł. wykłada politologię na Uniwersytecie Masaryka w Brnie i jest jednym z najbardziej aktywnych członków rady bludowskiej, gdzie reprezentuje ODS (Občanská demokratická strana, Obywatelska Partia Demokratyczna – przyp. tłum.). W gminie działa również w organizacji skautowskiej. Jednym z jego największych oponentów politycznych jest właśnie Karel Janíček, który obecnie jest na emeryturze. Do listopada 1989 roku zajmował pozycję kierownika działu kultury tutejszej Powiatowej Komisji Narodowej Šumperk.

Miejsce publikacji:

Šumperský a Jesenický deník 21. października 2011

AGNIESZKA POSPISZYL

Maria Feliniak za społeczną pracę dostała 25 tysięcy!

Likwidowanie gminnej spółki to lukratywne zajęcie

Od połowy ubiegłego roku trwa likwidacja Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych i Mieszkaniowych w Strzelcach Opolskich. Zajmuje się tym pełniąc funkcję wiceburmistrza Maria Feliniak. Jak kilkakrotnie zapewniał w czasie poprzednich sesji burmistrz Tadeusz Goc, pełni ona tę funkcję społecznie.

Tymczasem, okazało się, że 28. grudnia 2010 r., Tadeusz Goc jednoosobowo podjął uchwałę, którą przyznał Marii Feliniak 25 tysięcy złotych.

O sprawie dowiedział się radny Henryk Pawłowski, który złożył na śródowej sesji interpelację. Pytał między innymi, czy sytuacja finansowa likwidowanej spółki aż tak się poprawiła, że można było wypłacić tak wysokie wynagrodzenie likwidatorowi, który jednocześnie w tym samym czasie pełnił obowiąz-

ki zastępcy burmistrza Strzelec Opolskich? Czy moralne jest, że likwidator powołując się na złą sytuację finansową spółki wstrzymał wypłaty premii wszystkim zatrudnionym pracownikom, uzasadniając tę decyzję potrzebą oszczędzania, natomiast w stosunku do siebie zasady tej nie zastosował?

Burmistrz w czasie sesji sprawy nie skomentował – chce odpowiedzieć radnemu na piśmie. Na pytanie dziennikarzy o wyjaśnienie tej sytuacji odpowiedział:

- Maria Feliniak bardzo dobrze wywiązuje się z obowiązków likwidatora, uznałem, że należy jej się za to nagroda. Proszę nie mylić tego z wynagrodzeniem.

Wynagrodzenie czy nagroda – mniejsza o nazwę. Faktem jest, że likwidator dostała 25 tysięcy (prawomocną uchwałę o likwidacji PUKiM-u podjęto 29. września 2010). A zapewniano, że robi to społecznie, czyli za darmo.

- Gdy na sesji mówiłem, że Maria Feliniak likwiduje PUKiM społecznie, wtedy nie dostała za to ani złotych – mówił Tadeusz Goc. – Poza tym pod koniec roku sytuacja firmy poprawiła się na tyle, że mogłem spokojnie przyznać taką nagrodę.

Czy burmistrz wiedział wcześniej, że nagrodzi likwidator sumą 25 tysięcy?

- Trzeba mnie było o to spytać kilka miesięcy temu – usłyszeliśmy w odpowiedzi. – Poza tym, to świństwo, że dziennikarze grzebią w zarobkach pani Feliniak. To, że pensja burmistrza jest jawna, to jedno, ale ile zarabia likwidator, to prywatna sprawa.

Myli się pan, burmistrzu. PUKiM to spółka gminna, a pani Feliniak pełni funkcję wiceburmistrza i wszystkie jej dochody muszą być jawne.

O skomentowanie tej sprawy poprosiłam również Marię Feliniak, pełniącą jednocześnie funkcje likwidatora PUKiM-u i wiceburmistrza Strzelec Opolskich.

- Te pieniądze to wynagrodzenie za pracę w formie nagrody – powiedziała. – Zostały mi przyznane jednorazowo za miniony rok. Ich wypłata nastąpiła w czasie, gdy spółka miała dobrą sytuację. Zresztą na koniec roku wszyscy pracownicy dostali maksymalną, bo 40-procentową premię uznaniową.

W grudniu sytuacja PUKiM-u była na tyle dobra, że można było wypłacić premie i nagrodę – 25 tys. zł –

dla likwidatora. Ale 19. stycznia już nie było tak różowo. Na spotkaniu komisji gospodarki i rozwoju, likwidator poinformowała radnych „o bardzo złej sytuacji finansowej spółki, aby nie utracić płynności finansowej trzeba „zonglować” wydatkami”. Maria Feliniak poinformowała również o ograniczeniu premii dla pracowników i restrykcyjnej polityce finansowej, aby dalej nie zadłużać spółki.

- Na początku roku otrzymaliśmy rozliczenie sezonu grzewczego i okazało się, że lokatorzy powinni uiścić spore dopłaty – wyjaśniała Maria Feliniak. – Jeszcze nie wszyscy to zrobili. Dlatego w tej chwili sytuacja spółki znów nie jest najlepsza. Obecnie nadal pracuję na stanowisku likwidatora bez pensji.

Komentarz

Było dobrze, więc przyznano nagrody. Po ich wypłacie w kasie znów pustka. Chyba nie na tym polega racjonalna polityka finansowa? Panie Burmistrzu, cieszę się, że docenia Pan pracę społeczników. Wnioskuje więc o przyznanie nagród wszystkim sołtysom, strażakom-ochotnikom, paniom z koła gospodyń, liderom odnowy i wszystkim innym, którzy pracują społecznie. Naprawdę społecznie.

Miejsce publikacji:

Tygodnik Regionalny „Strzelec Opolski”, nr. 9/607, 1-7.03.2011, str. 12

JANUSZ WŁODARCZYK

Przydzielają pieniądze swoim stowarzyszeniom

Czy polecą, bo przydzielają sobie pieniądze

KONTROWERSJE Starosta i wicestarosta z Parczewa, będąc członkami zarządu powiatu, przydzielają pieniądze instytucjom pozarządowym. Cel szczytny, gdyby nie fakt, że obaj od kilku lat są prezesami stowarzyszeń, które składają wnioski o takie dofinansowania i zawsze je dostają.

Uchwałą Zarządu Powiatu w Parczewie z 22 czerwca tego roku wsparcie finansowe na realizację zadań publicznych w powiecie otrzymało pięć instytucji pozarządowych na łączną kwotę 84 tys. zł. Wśród nich jest Powiatowe Zrzeszenie Ludowe Zespoły Sportowe Rada Powiatowa, któremu zarząd przydzielił 14 tys. zł na organizację imprez rekreacyjno-sportowych.

Pełni, ale rezygnuje

Problem w tym, że prezesem tego stowarzyszenia jest starosta **Waldemar Wezgraj**. - Mam interpretację prawa, że tak można. Zarząd to kilka osób, dlatego ja nie biorę udziału w dzieleniu tych pieniędzy. Poza tym to nie jest organizacja, która ma charakter zarobkowy - wyjaśnia starosta. Tłumaczy, że podział pieniędzy ma charakter konkursowy i każde stowarzyszenie może w nim uczestniczyć. Zapytaliśmy, czy kiedykolwiek zdarzyło się, by jego stowarzyszenie nie otrzymało wsparcia finansowego. Wezgraj odparł, że w ubiegłym roku komisja powołana przez zarząd do weryfikacji wniosków uznała, że należy konkurs powtórzyć, bo stowarzyszenia źle wypełniły wnioski, ale już w drugim podejściu wszystkie otrzymały dofinansowanie.

- Prawdę mówiąc rozważam rezygnację z tej funkcji, ponieważ nie bardzo mam czas na wypełnianie dodatkowych obowiązków. Czasami mam świadomość, że nie do końca działam tak, jak powinien to robić prezes. Stąd ciężar zarządzania spada na pozostałych członków stowarzyszenia - dodaje starosta.

Zgodnie z prawem,
bo pytał mecenasa

Z kolei prezesem Parczewskiego Stowarzyszenia Twórców i Animatorów Kultury jest wicestarosta **Jerzy Maśluch**. W tym roku starostwo dofinansowało jego dwa wnioski na łączną kwotę 31 tys. zł. Na organizację X Międzynarodowego Pleneru Rzeźbiarskiego im. Augusta Zamoyskiego w Jabłoni zarząd przyznał 13 tys. zł, a na redagowanie i wydawanie miesięcznika powiatu parczewskiego „Ziemia Parczewska” - 18 tys. zł.

- Jeżeli moje stowarzyszenie składa wniosek o dofinansowanie, to ja tego wniosku nie podpisuję, nie uczestniczę także w posiedzeniu zarządu, na którym rozdzielane są pieniądze. To w zupełności wystarczy, ponieważ stowarzyszenie nie prowadzi działalności gospodarczej, w związku z czym nie czerpie jakichkolwiek zysków. Konsultowałem ten temat z mecenas obsługującą nasze starostwo i nie jest to absolutnie sprzeczne z prawem. Decyzja zapada poza mną, a o przydziale pieniędzy decydują pozostali członkowie zarządu. Na podjętej w tej sprawie uchwale nie ma mojego podpisu - wyjaśnia Maśluch. Ale zaraz dodaje, że złożył już wypowiedzenie z szefowania stowarzyszeniem. - Uważam, że trzeba dać szansę młodszemu. Jestem prezesem bodajże od dziesię-

ciu lat, więc niech teraz inni się wykażą. Nie mam na to czasu - tłumaczy.

Jak mówi, decyzje o przyznaniu dofinansowania są podejmowane demokratycznie, czyli każdy członek zarządu ma jeden głos, a on jako zainteresowany nie ma wpływu na oddawanie przez nich głosów „za” bądź „przeciw”.

A jednak nie mogą

Inaczej do problemu podchodzą władze Urzędu Miejskiego w Parczewie. Jedną z pierwszych informacji, jaką otrzymali wybrani na nową kadencję radni, burmistrzowie, sekretarz, skarbnik i kierownicy jednostek organizacyjnych był nakaz wycofania się z funkcji w stowarzyszeniach bądź instytucjach pozarządowych, które czerpią korzyści finansowe z Urzędu Miejskiego w Parczewie. - Wójtów, burmistrzów czy starostów obowiązuje ustawa z 21 sierpnia 1997 roku o ograniczeniu prowadzenia działalności gospodarczej przez osoby pełniące funkcje publiczne. Stowarzyszenia z reguły prowadzą działalność gospodarczą, bo w swoich statutach mają takie zapisy. Z ustawy o stowarzyszeniach wynika, że takie stowarzyszenie może prowadzić działalność, a nawet jeżeli nie prowadzi, to potencjalnie taka sytuacja w każdej chwili może nastąpić. A to już jest przeszkoda do pełnienia funkcji w zarządzie takiego stowarzyszenia przez osoby zarządzające samorządami. W przypadku naszego samorządu ani burmistrz, ani zastępca nie zasiadają w zarządach stowarzyszeń czy innych instytucji pozarządowych, bo jest zakaz. Inaczej skutkuje to automatycznym wygaśnięciem mandatu w przypadku burmi-

PLCZ

strza albo odwołaniem z funkcji zastępcy burmistrza. Konsekwencje dotyczą także pozostałych samorządów powiatowych czy gminnych - wyjaśnia Agnieszka Hawryluk, sekretarz gminy Parczew.

Radnych obowiązuje natomiast ustawa z 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym. Radny nie może

prowadzić działalności gospodarczej z wykorzystaniem mienia komunalnego gminy ani zarządzać taką działalnością. Nie może być także członkiem władz zarządzających w organizacjach zajmujących się prowadzeniem działalności gospodarczej, jak chociażby ochotnicze straże pożarne.

Lokalne problemy społeczne

Miejsce publikacji:

„Słowo Podlasia” nr 32 9-15.08 2011r.

Bez wody i toalety. Tak się mieszka w Trzyńcu

W tej kategorii dostaliśmy najwięcej, bardzo dobrych tekstów. Nic dziwnego. Dziennikarstwo wyrasta z braku zgody na różnego rodzaju niesprawiedliwość. Lokalne media pełnią w tej sytuacji rolę szczególną. Lokalna gazeta jest często ostatnią instancją, jedynym rzecznikiem osób za którymi nikt inny wstawić się nie chce. W tej kategorii wyróżniamy teksty interwencyjne oraz – co nie mniej ważne – w komunikatywny sposób zmieniające postawy społeczne. Także przez pokazywanie losów osób, które mimo niesprzyjających okoliczności podejmują próbę zmiany swojej sytuacji. W szczególności doceniamy materiały będące wynikiem współpracy z czytelnikami i te, których autorzy wykazali się szczególną wrażliwością na problemy ukazane w lokalnej perspektywie. Otrzymaliśmy teksty dotyczące zdrowia, edukacji, pracy, niepełno-

sprawności, organizacji pozarządowych, wpływu lokalnych autorytetów na lokalne społeczności a także biedy, którą przyniosła ze sobą transformacja.

Do kapituły konkursu wpłynęły przede wszystkim reportaże, także takie które wykorzystują innowacyjną, nowoczesną narrację. Otrzymaliśmy reportaże wyróżniające się nie tylko ze względu na temat, ale i innowacyjne sposoby narracji. Pokazują świat, o którym mało kto wie: świat wind poruszanych ręcznie, baraków do których są wysiedlani mieszkańcy centrów miast, ale i korupcję która obejmuje... cmentarze lub niepokój drobnych przedsiębiorców którzy boją się ekspansji z Chin. To kategoria, w której szczególnie mocno zachęcamy nie tylko do przeczytania tekstów wyróżnionych w konkursie, ale wszystkich, które wzięły udział w rywalizacji.

Na osiedlu Folvark ludzie żyją w warunkach urągających zasadom higieny. Mówi się, że domy czeka rozbiórka.

Jak żyje się w Trzyńcu w mieszkaniach trzeciej i czwartej kategorii, których właścicielem jest spółka CPI Byty? Dlaczego w ostatnim czasie zaczyna się mówić, że czeka je rozbiórka? Odpowiedź na te pytania staraliśmy się znaleźć bezpośrednio na miejscu. Wybraliśmy osiedle Folvark.

Wysoki czynsz

Przyjeżdżamy tu w środę wieczorem, parkujemy auto przy miejscowym cmentarzu. Słoneczko przyjemnie świeci, letnia pogoda. Po drodze spotykamy panią Věrke. Zamiata chodnik. – Mieszkam tu czterdzieści

lat – zwierza się na powitanie. Wprowadziła się do jednego pokoju z kuchnią na ulicy Kasztanowej kiedy wyszła za mąż. Miała wtedy siedemnaście lat. Wcześniej razem z jej mamą mieszkały w domu naprzeciwko. Kiedy stan zdrowia mamy się pogorszył, wzięła ją do siebie.

- Oprócz tego czynszu, którego wysokość nie odpowiada jakości, ja się nie skarzę – wyjaśnia. Miesięcznie płaci 2600 koron. Do tego jeszcze musi dodać opłaty za prąd i ogrzewanie. W kuchni ma piec: jedyne źródło ciepła w całym domu. – Na zimę musimy sobie załatwiać węgiel i drzewo – dodaje kobieta. Gdy to zsumuje, miesięczne koszty utrzymania mieszkania dochodzą nawet do 4500 koron.

Życie bez wanny

Łazienki w mieszkaniu nie znajdujemy, tylko zlew w blacie i jedną umywalkę w rogu kuchni. Obok stoi pralka. Pysznic lub wanna? Można zapomnieć. – Ja się umyję w robocie, ale mama nie – skarży się kobieta i opisuje, jak skomplikowane jest dbanie o higienę starej matki. – Ale ja jestem zadowolona, gdyby tylko obniżyli czynsz chociaż o ten tysiąc, siedziałabym cicho – dodaje.

Toaleta bez wody

Do toalety najemcy chodzą do szopy, która stoi dwadzieścia metrów od domu. Wprawdzie jest murowana, ale jeśli sobie ktoś myśli, że można w niej spuścić wodę, grubo się myli. Woda nie jest dociągnięta do budynku. Ludziom nie pozostaje więc nic innego, niż nosić ją w wiadrze. Latem można sobie życie w takich warunkach wyobrazić, ale zimą, kiedy przyjdzie mróz i śnieg. Albo gdy zdarzy się jakaś choroba? W domach tych mieszkają również ludzie starsi i małe dzieci. Dlatego mieszkańcy radzą sobie na różne sposoby, wielu kupuje do domu toaletę chemiczną. Jeśli ich na to nie stać, starczy też stare krzesło, deska toaletowa i jakieś wiadro. Czy to możliwe, że coś takiego dzieje się jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku? Tak, możliwe.

Królestwo pleśni

Ogromnym problemem jest wszechobecna pleśń. Sytuacja pogorszyła się zwłaszcza po ostatnich powodziach. – Kiedy pada, woda przecieka przez ściany

do piwnicy. Całe szczęście, że tam nie stoi, a spływa – mówi pani Věrka. Jej sąsiadka ma gorzej, bo u niej woda w piwnicy stoi. – Po kolana – dodaje kobieta. Wilgoć na tym osiedlu utrzymuje się bardzo długo, więc pleśń ma tutaj jak w raj. Nie pomagają najróżniejsze środki chemiczne, które stosują miejscowi. Pleśń znika na chwilę, ale za parę tygodni jest z powrotem.

Piękny ogródek

Pomimo tego, nasza gospodyni twierdzi, że dobrze jej się tu mieszka i nie chciałaby się przeprowadzać. Ma nadzieję, że rozbiórka nie będzie dotyczyła jej domu. – Chcę tutaj dożyć do końca swoich dni – wyjaśnia i prowadzi nas za dom, gdzie ma pięknie utrzymany ogródek. Stoi w nim ładna pergola, wszędzie kwitną kwiaty. Nie słychać tu hałasu z ulicy. Po równo przyszyżonym trawniku biega mały pies. Niestety, u sąsiadów za płotem rośnie wysoka trawa i pokrzywy. – Wie pani, nie wszyscy się starają. Ci młodzi o tym nie myślą – mówi kobieta. W większości mieszkają tu krótko, później przeprowadzają się gdzie indziej. W małej miejskiej gospodzie za drogą jest gwarno. Mijamy wyraźnie podpitego mężczyznę. Kiedy widzimy jak dziurawe są tu drogi, cieszymy się, że zostawiliśmy samochód przy cmentarzu. Przy jednym domu stoi młoda kobieta z około rocznym dzieckiem i wózkiem. Przyszła odwiedzić swoją matkę.

Kanalizacja oznacza wodę wszędzie

- Jak się tutaj żyje? Teraz bardzo źle – przyznaje matka, która ze wstydu nie chce podać swojego nazwiska. Wprowadziła się do budynku w październiku zeszłego

roku. Właśnie wtedy zaczęła się budowa kanalizacji w ramach projektu Rewitalizacja rzeki Olšy. – Wszystko nam zaczęło pleśnieć. Sąsiedzi mieli tu wszystko zalane – tłumaczy się kobieta. Córka pokazuje wysypkę na nóżce małej dziewczynki. Reakcja alergiczna na pleśń. Ich była sąsiadka musiała się wyprowadzić z powodów zdrowotnych. – Ta jej mała i ona sama były zupełnie czerwone od tej pleśni. Miały takie odparzenia – opowiada kobieta. Dodaje również, że jej samej zapleśniały meble a nawet lodówka.

Zamiast toalety wspólna latryna

Kolejny budynek. Warunki, w jakich tutaj żyją ludzie, są o wiele gorsze, niż w domu, gdzie byliśmy wcześniej. Toaleta również jest na zewnątrz, ale nie w murowanym budynku, tylko w drewnianej szopce – po prostu zwykła latryna. Najemcy na ścianach porzlepiali plakaty, aby choć trochę rozweselić tę przygnębiającą przestrzeń. – Nie mamy tu światła, tak, że do toalety chodzimy z latarką – wyjaśnia najemca. Łazienki oczywiście też nie ma. W mieszkaniach nie znajdziemy również nawet umywalki, bo nikt tutaj nie doprowadził wody. – Nabieramy ją tam w studni – kobieta wskazuje metalowe pudło, które skrywa źródło wody dla czterech mieszkań. Ludzie myją się tutaj w miednicach albo, o ile mają taką możliwość, w pracy. – My chodzimy też do znajomych, którzy mają łazienkę – przyznaje kobieta.

Płacą za latrynę

Ile płaci się za mieszkanie w takim luksusie? – Miesięcznie 1500 koron, bo żyję tu sama. Córka z rodziną mieszka tam w tych wysokich domach – wyjaśnia kobieta. Czynsz zależy też od wielkości mieszkania. – Do tego dolicza się również toaletę. Nie wiem dokładnie ile to wychodzi, ale jakieś 70 koron płacimy za tę toaletę – mówi najemczyni. Zgodnie z tym, co mówi płaci również czynsz za piwnicę, której jednak się nie da używać. – Woda sięgała aż do trzeciego schodka, to dla bezpieczeństwa wykręciłam żarówkę, która tam miała świecić – twierdzi kobieta.

Za jakość się płaci

Jej córka jest w o wiele lepszej sytuacji, bo ma w mieszkaniu dociągniętą wodę. W jej budynku są też toalety. Tyle, że na korytarzu. Łazienki w mieszkaniu też nie mają. – Gdyby sobie dobudowali na swój koszt, płaciliby wyższy czynsz – mówi matka i wyjaśnia, że tak się przydarzyło jej znajomej. – Ale ona już się wyprowadziła – dodaje szybko.

Jeszcze chwilę spacerujemy pomiędzy domami. Nie możemy uwierzyć w to, co widzieliśmy. Te budynki naprawdę czeka tylko rozbiórka. Tylko co będzie z ludźmi, którzy w nich żyją a na wyższy czynsz ich po prostu nie stać?

Miejsce publikacji

„Horizont”, 22.6.2010

MARIAN DZIADUL

Mamusia z nożem w ręku, tatuś powraca na czterech

Na marginesie: Mała Sodomia, czyli życie w barakach przy ulicy Polnej w Szczecinku. Właśnie minęły dwa lata od ich zasiedlenia.

Oto pan Darek, notorycznie pijany mieszkaniec ulicy Polnej w Szczecinku. Raczkuje pomiędzy barakami. Ciężka głowa zwisa mu prawie do ziemi. Już za chwilę włosami zamiata pierwszy schodek do baraku. Nadludzkiem wysiłkiem próbuje go pokonać i - jak ten mityczny Syzyf - wszystko musi zaczynać od nowa. W miarę możliwości człowieka poruszającego się na czterech kończynach, usiłuje zdrzeć głowę, żeby dostrzec numer swojego baraku. Klnie pod nosem, bo tabliczka z numerem powinna być przecież umieszczona na wysokości jego oka, czyli tuż nad ziemią.

- On tu nie mieszka - ze znanstwem rzeczy zauważa Violetka, mała dziewczynka z Polnej. - Pomylił się. On mieszka parę baraków dalej.

Dzieciaki z Polnej nagrywają filmiki obyczajowe na telefony komórkowe. Potem się nimi wymieniają. Mają ubaw po pachy.

Krew na drzwiach

Marta nie wypuszcza swoich dzieci - jak mówi - przed slumsy. Teraz w ferie, gdy nie muszą chodzić do szkoły, kiszą się w baraku od rana do nocy. Takie postanowienie matka podjęła po ostatnim obyczajowym skandalu. Zaczęło się niewinnie, może stąd zawiódł ją instynkt samozachowawczy. To było tak: sąsiad przyprowadził do baraku kobietę. Jest samotny, no to chyba ma prawo?! Spoił ją „ruskim spirytusem”, a następnie wygonił, golusieńką, przed barak. A dzieciaki tylko czekają na takie okazje: komórki w łapki i dawaj kręcić filmiki!

- Chcecie wiedzieć, ile czasu ta goła baba stała przed barakiem? 27 minut! - Marta z zegarkiem w ręku liczyła czas demoralizacji. - Prawie pół godziny czekaliśmy na policjantów. Złapali ją pod rękę i wprowadzili do baraku, bo tam miała ubrania.

Janusz tylko macha ręką na taką „demoralizację”. Według niego, to był tylko incydent. Uważa, że na Polnej występują dużo cięższe gatunkowo przypadki.

- Na przykład mamuśka, co ma tych dwóch synalzków? - tu Janusz rzuca nazwisko sąsiadki. - Jednego dnia rozbiera się do naga, wybiega z baraków i drze się: „- Co, ładna jestem?!”. Innym razem gania z nożem w ręku. Jak kiedyś kogoś dźgnie, to dopiero wtedy zrobi się afera - widać strach w jego oczach.

Na jasnych drzwiach prowadzących do jednego z baraków napis zabrania wejścia bez pukania. Trudno powiedzieć, czy ktoś nie zastosował się do nakazu. W każdym razie drzwi zbryzgane są krwią.

- Nie ma dnia, żeby w tym naszym getcie nie było bójki - Ryszard Krawcewicz mówi otwarcie, że odechciało mu się żyć. - W nocy słychać brzęk szkła z butelek rozbijanych o ściany baraków. Krzyki, jęki, okropne przekleństwa... Sodomia i Gomora! Twierdzi, że najgorszy czas to okolice północy. Krawcewiczo wie budzą się wtedy i do rana już nie śpią.

- A córka rano musi iść do szkoły - Grażyna Krawcewicz jest bliska płaczu. - Jak ona ma się uczyć w takich warunkach?

Stąd do baraków

Stanisławowi Daczkowskiemu dość długo udawało się realizować w życiu maksymę, którą przyswoił so-

bie w czasach minionych: co robić, żeby się nie narobić.

- W Kazelu byłem etatowym przewodniczącym Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej - z dumą opowiada o pracy w dużym przedsiębiorstwie państwowym w Koszalinie. - Byłem na zjeździe młodzieży w Warszawie, w hucie Nowotki. Przy jednym stole siedziałem z Edwardem Gierkiem - w regionie pan Stasiek był młodzieżową szczyhą.

Długi i - dla niego - dość monotony dzień pracy w koszalińskim zakładzie wypełniał w niezwykle oryginalny sposób.

- Przerabiałem fraszki, na przykład Ignacego Krasińskiego. Jedna z moich fraszek brzmiała tak: „Młodemu mówił czyżyk stary...” - deklamuje fragment przetworzonych przez siebie „Ptaszków w klatce”.

W kraju nastały nowe czasy i życiowa maksyma pana Staszka przestała się sprawdzać. Do jego zadłużonego mieszkania przy ulicy Połczyńskiej zastukał komornik.

- Wziął mnie za bety i przeniósł do baraków - macha ręką z rezygnacją. - Dobrze, że nie pod most - dodaje ze szczyptą sarkazmu.

Inną drogą trafili do baraków Grażyna i Ryszard Krawcewiczowie, którzy wychowali sześcioro dzieci. Przed eksmisją mieszkali przy ulicy Limanowskiego, w starym budownictwie. Finansowo rozłożyła ich ciężka choroba pana Ryszarda.

- Miałem trzy operacje trzustki - gotów jest pokazać cięcia chirurgiczne. - Teraz mam zaawansowaną cukrzycę i wysokie nadciśnienie.

Z kolei Janina Górka mieszkała w domu młodego robotnika przy ulicy Słowiańskiej. Młodzi robotnicy tak się tam zasiedzieli, że wielu z nich doczekało emerytury. Ten ich dom także mocno nadgryzł zęb czasu. Miasto postanowiło go rozebrać.

- Od 65 roku pracowałam w Szczecinku w przedsiębiorstwie A-22. Z bakelitu robiłam takie gniazdko elektryczne, wtyczki, sryczki...- dobre czasy wspomina pani Jasia. -Mieszkać w domu robotnika, wtedy to było coś - podkreśla.

Pani Janina jest umiarkowanie zadowolona z przydziału do baraków. Przede wszystkim z tego, że są one parterowe.

- Tam mieszkałam na drugim piętrze. I jak ja bym teraz zeszła na dół? - trzy lata temu straciła nogę. - A że tu piją? W mieście też piją - baraków przy Polnej ich mieszkańcy nie zaliczają do miasta.

W domu młodego robotnika mieszkała też pani Małgosia, z dwiema córeczkami. Starsza z nich, właściwie już dorosła, wymaga szczególnej troski i opieki.

- Jak się ten budynek w Kamieniu Pomorskim spalił, wtedy ze Słowiańskiej wypchnęli nas szybko i na siłę do tych baraków. Wcisnęli w tę patologię - mówi załamana.

Bez prądu

Kuchnie na prąd zzerają im groszowe renty i zasiłki z opieki. Niejeden mieszkaniec baraków żyje już bez wody i prądu.

- Prąd mi odcięli, ale wodę jeszcze mam - Elżbieta Kapłan na dowód odkręca kran.

Co się stanie jak dalej nie będzie płacić należności i tę wodę w końcu też odetną?

- Pójdę do „Biedronki” po wodę w butelkach - pani Ela ma plan „B”.

No tak, ale przecież woda jest potrzebna także do łazienki w baraku: w czym się umyje, w czym upierze odzież?

- Wykujemy przeręblę w jeziorze - śmieje się Piotr, konkubent Eli.

Mają dobrego sąsiada, który pożyczył im butlę z gazem i dokreconą do niej kuchenką turystyczną, żeby mieli na czym wody na herbatę zagotować.

- Z polityką też jesteśmy na bieżąco - wesoły pan Piotrek włącza radio na baterię. - Może powiedzą, że bomba spadła na Szczecinek - dodaje dowcipnie.

Dzieci z baraków

Starszy mężczyzna, dobra dusza, przygarnął młodego chłopaka, który pałętał się pomiędzy barakami. W zamian za mieszkanie, miał mu pomóc w zakupach i codziennym sprzątanii. Idylla trwała parę tygodni. Wreszcie młody nie wytrzymał i skopał niedołęznego dziadka: złamał mu szczękę i odbił płuca. Staruszek tydzień spędził w szpitalu.

- Trzeba uszy zatykać, jak te jedenastoletnie, a nawet już dziesięcioletnie chłopaki odzywają się do swoich matek: ty k...o, ty szmato. Normalnie w dzień, na ulicy - pani Małgosi nie mieści się to w głowie. - Goniec z sądu prawie codziennie biega z wezwaniami dla rodziców: ten coś ukradł, tamten kogoś pobił w szkole... Pani Małgorzata nie posłała swojej młodszej córki do

szkoły „siódemki”. Postanowiła odizolować ją od podwórkowych koleżanek z baraków.

- Chodzi do „czwórki” i jestem z tego bardzo zadowolona - nie ukrywa matka. - Nie chcę, żeby ona przez całe życie nosiła piętno dziecka z baraków - tłumaczy decyzję. - Bo w „siódemce” z tych naszych dzieci rówieśnicy się nabijają.

Trzeba jednak przyznać, że barakowe dzieci są sprytne. Nie przyznają się do życia w slumsach, które dwa lata temu przy ulicy Polnej zbudowało miasto

- Ja mówię, że moja rodzina mieszka w blokach na Polnej - szeptem tłumaczy Daria, która jest uczennicą szóstej klasy, choć powinna być już w gimnazjum.

- Ja też nikomu się nie przyznam - dodaje Stasiu, młodszy brat Darii. - Żeby mi nawet ręce wykręcali.

Z deszczu pod rynnę (ramka)

Do mieszkań socjalnych przy ulicy Polnej w Szczecinku przekwaterowano 60 rodzin, na których ciążyły

sądowe wyroki o eksmisję z dotychczas zajmowanych lokali. Połowę mieszkań w postawionych kontenerach miasto zarezerwowało na potrzeby Zarządu Budynków Mieszkalnych. Pozostałe przeznaczyło dla innych zarządców zasobami lokalowymi, głównie - dla Szczecineckiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Opłaty za użytkowanie baraku socjalnego przy ulicy Polnej nie są niskie. Stawka czynszowa za metr kwadratowy zajmowanej powierzchni wynosi 0,81 zł. Do tego trzeba doliczyć 2,50 zł za ogrzewanie m. kw. powierzchni lokalu (ciepło z kotłowni miejskiej). Przed wszystkim jednak ubogie rodziny dobijają opłaty za prąd, gdyż w kontenerach zainstalowano kuchnie i bojler elektryczne. Dochodzą jeszcze opłaty za wodę i ścieki. W sumie rodziny z baraków zobowiązane są płacić od 100 (osoby samotne) do nawet 550 zł miesięcznie (wielodzietne).

Miejsce publikacji:

„Głos. Dziennik Pomorza”, 4 marca 2011 r., str. 9.

NATAŠA VAVŘÍKOVÁ ŠMATOVÁ

Miejsce, w którym Renata jest zadowolona

Franciszkowe łaźnie

Matka opuściła Renatę po jej narodzinach, więc wychowała ją babcia. Kiedy zmarła, Renata wróciła do domu, ale ponieważ nie była tam szczęśliwa, uciekała z domu tam, gdzie ją nogi poniosły. Przebywała w różnych ośrodkach, aż w końcu w roku 2007 została na stałe w domu dla osób niepełnosprawnych w Lubach.

W zeszłym roku na początku października dostała nową szansę, której kurczowo się chwyciła.

Renata Herbová to 44-letnia kobieta z porażeniem mózgowym, która 1. października zeszłego roku dostała mieszkanie, a parę dni później zaczęła pracę. Pracuje jako sprzątaczką w luksusowym hotelu Imperial w Franciszkowych łaźniach.

Nowa szansa na normalne życie

- Zaczęłam 6. października, a pracę znalazł mi Rytmus (stowarzyszenie, o którym pisał niedawno Deník) - zaczęła opowiadanie Renata Herbová.

- Byłam w ośrodku, gdzie pomagałam siostrze, starszym ludziom i robiłam w pralni. Zbierałam pościel i wkładałam do koszyka, a później ją nosiłam dziewczynom do pokoi - wylicza. Już od czasu pobytu w ośrodku, zawsze chciała pomagać i pracować.

- Teraz już nie mieszkam w ośrodku, ale dostałam z koleżanką mieszkanie. Za chwilę będzie miała sześćdziesiąt lat i nie chodzi do pracy, więc pomaga w domu. Mam też asystentkę, ma na imię Ewa i pomaga nam w domu. Bardzo ucieszyłam się z mieszkania. Od małości wychowywała mnie babcia, bo

mama mnie nie chciała i odeszła. Już jej nie mam, umarła, kiedy miałam dwadzieścia lat.

Dlatego zdecydowała się wrócić do matki, która traktowała ją bardzo źle. Renata zaczęła uciekać z domu. Po pobycie w Dobrzanych wróciła do domu, jednak sytuacja się powtórzyła. Po kilku kolejnych pobytach w różnych ośrodkach, w 2005 roku dostała się do Lubów. W końcu nadszedł dla niej szczęśliwszy czas, szczególnie dlatego, że została wybrana jako jedna z pacjentek, która może mieszkać sama z pomocą asystenta, a nawet pracować.

- Tutaj jestem zadowolona i lubię mnie - mówi. Ona sama ona nigdy nikomu nie odmawia pomocy.

- Do końca roku chodziłam do pracy 3 razy tygodniowo, wtorki i czwartki miałam wolne, ale od początku roku przyszła do mnie pani i zapytała czy nie chciałabym robić cały tydzień. Zgodziłam się. Pracuję cały tydzień i mam wolne weekendy i święta. Do pracy Renata dojeżdża autobusem sama bez pomocy.

- Są tu dla mnie dobrzy, mamy bajecznego pana dyrektora i wszyscy są ze mnie zadowoleni. Cieszę się, że dostałam tę pracę i że jestem między ludźmi.

O dom dba jak każdy

Po powrocie do domu Renata zajmuje się domem, tak jak każda inna gospodyni. - Trochę sprzątam, by mieć porządek - opowiada. Ma też swoje hobby. - Zbieram modę. Wycinam obrazki i przylepiam je w zeszycie i robię album. Bawi mnie to już od małego. I przyznam się, że mam pokój pełen pluszaków. To jest właśnie to, co mam. Niech pani przyjdzie mnie kiedyś odwiedzić - kończy swoje opowiadanie.

Nowy dyrektor zatrudnił kolejną niepełnosprawną kobietę

Dyrektor hotelu Imperial Václav Podhrázký nie chce sobie przypisywać zasług swojego poprzednika. - Kiedy od stycznia zacząłem pracować tu w hotelu, pani Renata już tu była - zaczął. - Powiadomiono mnie wcześniej, że hotel współpracuje ze stowarzyszeniem Rytmus. Ucieszyło mnie to i muszę przyznać, że wydało mi się bardzo sympatyczne, że będę współtworzyć projekt, że będę mógł obserwować aktywizację Renaty i mieć w niej swój udział. Przekazałem również stowarzyszeniu, że jeśli mają kogoś, kto mógłby tu jeszcze przyjść, znajdę dla niego miejsce. W ten sposób na stanowisku zmywającej w hotelowej kuchni pojawiła się pani Radka.

Jest dumny z tego, że może pomóc

- Prawdę mówiąc, w ogóle nie wiedziałem, że niepełnosprawni mogą być w ten sposób zatrudnieni i ucieszyło mnie, że w Czechach coś takiego funkcjonuje. Oczekiwałem czegoś podobnego po Pradze i po wielkich miastach, nie spodziewałem się więc, że na prowincji ktoś się tymi naszymi współobywatelami tak opiekuje.

Właściwie nawet się nie bał, choć miał świadomość w co wchodzi. Przyznał również z pewną dumą, że to właśnie hotel Imperial jest pierwszą jaskółką aktywizacji niepełnosprawnych obywateli i dziękował za szansę włączenia się w taką pomoc.

- Nie wiem czy ma to coś z tym wspólnego, ale urodziła mi się córka i czasem przychodzi do mnie małżonka z małą. To aż nie do uwierzenia, jak reaguje na nią Renata. Wychodzi nawet na zewnątrz żeby

móc na nią popatrzeć, codziennie prosi, żeby ją pozdrowić. Niektórzy mogą na nią patrzeć trochę przez palce, mogą powiedzieć – proszę nie podchodzić do mojego dziecka, ale tutaj jest wyraźnie widać, że kontakt z dzieckiem na nią niewiarygodnie oddziałuje. Dla mnie to przyjemne i strasznie się cieszę z tego, jak to działa.

Negatywne reakcje? Nie ma

Pozostali pracownicy odbierają Renatkę bardzo pozytywnie. – Nie słyszeliśmy nawet jednego złego sło-

wa, i to w ogóle od nikogo – nadmieniła recepcjonistka Naďa Špendlíčková. – Nawet od gości. Większość naszych klientów jest z zagranicy i przyjmuje to jako coś zupełnie normalnego. Chyba są do tego przyzwyczajeni, za granicą jest to pewnie coś zupełnie oczywistego.

Integracja niepełnosprawnych daje im szansę, jeśli tylko są na siłach, na normalne życie. Renata Herbová, tak jak inni wybrani pacjenci ośrodka, miała to szczęście. Jak wcześniej wspomniał starosta Skalnego Radomil Gold, to właśnie w takich sytuacjach okazuje się czy jesteśmy dojrzałym społeczeństwem.

Miejsce publikacji:

Chebský deník, 29.4.2011

ŁUKASZ CIEŚLA

Mariusz T., czyli specjalista od trudnych mieszkań

Wiele wskazuje, że w Poznaniu mogą rozgrywać się wydarzenia przypominające te z głośnego filmu „Dług”. W filmie było tak, że dwóch młodych warszawskich biznesmenów, nie mając zdolności kredytowej, pilnie potrzebowało gotówki. Przypadkiem poznali mężczyznę. Obiecywał pieniądze, ale zamiast nich „załatwił” młodym biznesmenom fikcyjny dług do spłacenia. I żeby dostać pieniądze, bił ich i zastraszwał. Finał był tragiczny. Szantażysta wraz ze swoim kompanem został brutalnie zamordowany przez zdeperowanych biznesmenów.

W Poznaniu od kilku lat działa natomiast doradca finansowy Mariusz T. Jego klienci skarżą się, że podobnie jak w filmie, zamiast pomocy, dostają „betonowe koło ratunkowe”.

Klienci Mariusza T. pochodzą z Poznania, ale także z innych miejscowości. To najczęściej osoby bez zdol-

ności kredytowej lub potrzebujące pilnej pożyczki. Trafiają do pana Mariusza, który prowadzi biuro w nowoczesnym biurowcu, w atrakcyjnie położonym miejscu w Poznania. Doradca proponuje kawę oraz szybkie rozwiązanie kłopotów. Rozmowy prowadzi w miłej atmosferze, nie zastrasza ani nikogo nie szantażuje. Pożyczkobiorcy początkowo słyszą ponoć jedynie, że aby dostać pieniądze, muszą dać pod zastaw swoje mieszkania lub inną nieruchomość. W tym rozwiązaniu nie ma jeszcze niczego dziwnego. Razem z Mariuszem T. jadą więc do pani notariusz – prawie zawsze tej samej – i podpisują umowę.

Akty notarialne mówią już o tym, że Mariusz T. nie bierze mieszkań pod zastaw, lecz je kupuje. Ceny mieszkań są zaniżone, wynoszą kilkadziesiąt procent ich rynkowej wartości. Z wielu aktów wynikać ma, że

Mariusz T. albo zapłacił już ludziom, albo dał im pieniądze w samej kancelarii. Jeśli wierzyć temu zapisowi, jego klienci w biały dzień wychodzą od notariusza z siatkami pełnymi banknotów.

Świadomi czy oszukani?

Klienci zapewniają jednak, że nie tylko nie dostają pieniędzy u notariusza, ale także nie są informowani o sprzedaży przez siebie mieszkania. Czasami zwyczajnie nawet nie czytają tego, co podpisują. A o tym, że nie są właścicielami, dowiadują się podobno nawet po wielu tygodniach, gdy są wzywani przez Mariusza T. do zapłaty za możliwość pozostania w swoim, a właściwie już w nieswoim lokalu.

Klienci kłamią, czy też rzeczywiście padają ofiarą oszustwa podczas podpisywania aktu notarialnego? Bada to policja i prokuratura.

Mariusz T. odnosząc się do rewelacji swoich klientów, wskazuje, że są świadomi, jakie dokumenty podpisują. Wspaniałomyślnie zapewnia też, że lokale można odzyskać. Trzeba jednak spłacić dług, zwany pożyczką. W jakiej wysokości i na ile rat rozłożony? Tego do końca nie wiadomo, bo doradca składa tylko ustne deklaracje. Nie daje żadnych pisemnych gwarancji, że odda lokal po spłaceniu zobowiązań.

- W mechanizmie wymyślonym przez Mariusza T. występują trzy kwoty - ujawnia osoba analizująca szczegółowo jego działalność. - Pierwsza kwota to pożyczka, powiedzmy, że klient chce 100 tys. zł.

Druga kwota pojawia się w akcie notarialnym i wynosi już np. 200 tys. zł. Za taką kwotę, zbliżoną do rynko-

wej wartości lokalu, Mariusz T. niby kupuje to mieszkanie. Ale to fikcja, bo przecież daje dużo mniej. Jest jeszcze trzecia kwota, czyli ta, za którą klient ostatecznie może odkupić mieszkanie. To albo realna wartość mieszkania, albo wysokość kredytu, jaki pod lokal zaciąga Mariusz T. Ta kwota może wynieść na przykład 250-300 tys. zł, czyli kilka razy więcej niż wysokość pożyczki. Za takie pieniądze plus odsetki klient ma szansę odzyskać mieszkanie - dodaje.

Mariusz T. odnosząc się do tych stwierdzeń, zapewnia, że akty notarialne są prawdziwe. Podkreśla również, że nie pobiera wygórowanych marży. Że tak naprawdę znaczna część kosztów, które klient musi spłacić po wzięciu pożyczki, trafia do banku. Bo ta instytucja daje kredyt Mariuszowi T. na zakup mieszkania i tym samym na udzielenie „pożyczki”. Kredyt spłacać ma już jednak klient, bo dzięki temu odzyska lokal.

Słup to brzydkie słowo

Od kilku miesięcy śledztwo w sprawie działalności doradcy prowadzi poznańska Prokuratura Okręgowa i Komenda Wojewódzka Policji. Przesłuchano ponad pięćdziesięciu klientów. Wielu czuje się pokrzywdzonych. Zapytaliśmy Mariusza T., czy aż tyle osób potrafiłoby kłamać na temat jego działalności? Odpowiedział, że to policja „nakręciła” sprawę. Bo, jak wskazuje, to funkcjonariusze zaczęli docierać do jego klientów i wzywać ich na przesłuchania.

- Rzeczywiście, do znacznej części jego klientów dotarliśmy sami - potwierdza Andrzej Borowiak, rzecznik KWP w Poznaniu. - I co się okazało? Część osób dopiero od nas dowiedziała się, że nie jest już wła-

ścicielem „swoich” mieszkań. Twierdzili, że ani notariusz, ani Mariusz T. im o tym nie powiedzieli. Inni z kolei z ulgą przyjęli fakt, że zajęliśmy się sprawą, bo jak mówili, znaleźli się w matni, w sytuacji bez wyjścia. Podkreślali, że wszystko miało być ładnie i pięknie, a w rzeczywistości na interesie z Mariuszem T. stracili mieszkania, czyli często dorobek życia. Czują się przez niego oszukani - dodaje rzecznik KWP.

W ciągu ostatnich miesięcy „Głos Wielkopolski” miał kontakt z wieloma osobami, które zetknęły się z doradcą. Jedną z nich jest mężczyzna, który przedstawia się jako bliski współpracownik Mariusza T. - Ten cały proceder z mieszkaniami odbywa się nielegalnie, a relacje Mariusza z panią notariusz są szczególne - stwierdza na wstępie rozmowy. - Uczestniczyłem w kilku transakcjach prowadzonych przez niego i wiem, jak to funkcjonuje. Była sytuacja, że rodzina myślała, iż jej mieszkanie będzie jedynie zabezpieczeniem pożyczki, a tak naprawdę Mariusz wprowadził ich w błąd i kupił od nich ten lokal po niskiej cenie. Kolejna kwestia dotyczy tego, kto kupuje te mieszkania. Bo nie zawsze Mariusz bierze to na swoje nazwisko. Ja sam kupiłem kilka mieszkań, inne brały „słupy”.

Mężczyzna dodaje, że „słupy” to ludzie z fikcyjną zdolnością kredytową. Rzekomo miało być tak, że jedna z osób dzięki lewym zaświadczeniom o zarobkach miała dostać kredyt na zakup mieszkania. Mariusz T. zaprzecza, by korzystał ze „słupów”. Jak mówi, „słup” to bardzo brzydki wyraz, wręcz obraźliwy dla niego. Zaznacza, że osoby kupujące mieszkania to „inwestorzy”.

Lokale z inwentarzem

Współpracownik Mariusza T. opowiada, że w działalności nie zawsze jest różowo, a schody pojawiają się wtedy, gdy klienci doradcy nie chcą spłacać długu.

- Nie ma zastraszania czy chamskich gróźb, ale ich mieszkania - razem z lokatorami - wystawiane są na sprzedaż albo też prowadzone są starania w celu wyeksmitowania dłużników - stwierdza informator.

Co na to doradca? Zaprzecza, by oferował do sprzedaży mieszkania „razem z inwentarzem”, czyli z ludźmi. Spotkaliśmy się jednak z inną osobą, która temu zaprzecza. To mężczyzna, który w internecie znalazł ofertę sprzedaży mieszkania. Wyglądała na atrakcyjną. Przed wszystkim kusiła niską ceną. Za trzypokojowe mieszkanie do remontu miał zapłacić niewiele ponad 200 tys. zł.

- Telefon ode mnie odebrał człowiek, który powiedział, że jest pełnomocnikiem firmy odkupującej od ludzi „trudne mieszkania”. Wskazał na firmę, którą prowadzi Mariusz T. - relacjonuje mężczyzna. - Potem rozmawiałem już z panem Mariuszem. Gdy dowiedział się, że mamy duży wkład własny, był bardzo zainteresowany szybką transakcją. Ja jednak postanowiłem działać rozważnie i sprawdzić m.in. księgę wieczystą. Wtedy wyszły na jaw pewne ciekawostki. Okazało się, że właścicielką mieszkania jest żona pana Mariusza, że mają rozdzielność majątkową (od 2007 roku - dop. red.), że w lokalu jest ktoś zameldowany i mieszka w nim jakaś rodzina, czyli pewnie poprzedni właściciel, oraz że lokal jest obciążony bardzo dużą hipoteką. Wyszło tak, że im więcej pytałem, tym pan

Mariusz i jego pośrednik, który nosił przy sobie olbrzymi pęk kluczy, coraz rzadziej odbierali ode mnie telefony. To była zabawa „w głuchy telefon”. W końcu zadzwoniłem do T. z innego numeru. Odebrał i gdy zapytałem go o mieszkanie, strasznie się zmieszał. Po chwili stwierdził, że sprawa jest już nieaktualna, bo ponoć ma innego kupca – dodaje niedoszły klient.

Dopieszczanie umów

Mariusz T. zaprzecza wszystkim zastrzeżeniom pod swoim adresem. No, może poza jednym. Przyznaje bowiem, że jego „błędem” jest to, że nie daje ludziom pisemnych gwarancji na to, że mogą odzyskać swoje mieszkanie po spłaceniu długu.

Twierdzi jednak, że to się zmieni, bo już niedługo będzie spisywał z klientami taką umowę. Gdy poprosiliśmy go o pokazanie choćby projektu takiego pisma, odmówił. Stwierdził, że umowy są właśnie dopieszczane. Dlaczego wcześniej ich nie podpisywał, skoro, jak sam mówi, działalność prowadzi od 4-5 lat? Odpowiedział, że z braku czasu i nadmiaru klientów te umowy będą wprowadzane dopiero teraz.

Śledztwo dotyczące jego działalności prowadzone jest z artykułu 286 kodeksu karnego, czyli pod kątem oszustwa. Prześwietlana jest działalność Mariusza T. oraz współpracującej z nim notariusz. Nasi rozmówcy zwracają jednak uwagę, że postępowanie wcale nie musi zakończyć zarzutami dla doradcy i notariusz.

- Mimo mocnych dowodów, do tej pory notariusz i Mariusz T. oraz jego współpracownicy nie zostali zatrzymani – mówi jedna z osób zainteresowana

sprawą. – Śledczy mnożą wątpliwości. Zachowują się, jakby byli adwokatami Mariusza T. i nie dostrzegali dramatu wielu rodzin, które znalazły się w potrzasku.

Prokurator Sebastian Domachowski, który prowadzi śledztwo, nie zgadza się z tymi zastrzeżeniami. Stwierdza, że sprawa jest skomplikowana i trzeba przeprowadzić jeszcze liczne czynności. - W grę wchodzi różne warianty. Czyli, że klienci byli świadomi tego, co podpisują, i godzili się na to bez jakichkolwiek nacisków, jak również że zostali oszukani i niekorzystnie rozporządzili własnym mieniem. Bez wątplenia sprawa jest trudna pod względem dowodowym. Zanim podejmiemy kluczowe decyzje, musimy przeanalizować wiele dokumentów oraz przesłuchać świadków – podkreśla Sebastian Domachowski.

Prokurator dodaje, że wśród pięćdziesięciu badanych przypadków, co najwyżej w dwóch nieruchomości wróciły do właścicieli. Mariusz T. widzi sprawę inaczej. Podkreśla, że może podać kilkanaście nazwisk osób, do których lokale wróciły. Gdy pytamy go o szczegóły, precyzuje, że odzyskanie mieszkania polegało także na tym, że było ono sprzedawane, a pieniądze dzielone między niego i klienta...

Altruista Mariusz T.

Doradca twierdzi też, że może łatwo wskazać osoby, którym pomógł. Ale przez ostatnie miesiące nie odezwał się do nas żaden z zadowolonych klientów. Tak było do przedwczoraj.

W środę zadzwoniła do nas kobieta. Stwierdziła, że wie o przygotowywanym przez nas artykule „na te-

mat pana Mariusza”. Jeszcze tego samego dnia, bardzo późnym wieczorem, przyszła do redakcji „Głosu Wielkopolskiego”. Okazało się, że informacje o naszym zainteresowaniu tematem ma od Mariusza T.

- Byłam dziś u niego w biurze i widziałam, jak czytał e-maila od pana. Przed moimi oczami stanął wrak człowieka – opowiada Beata Metler, zadowolona klientka Mariusza T., która zgodziła się na podanie swojego nazwiska. - Przyszłam do was z własnej woli, on mnie o to nie prosił. Uważam, że nie zasłużył na takie traktowanie przez media i przez klientów. Pomaga ludziom, często bezinteresownie. Mnie i mojemu mężowi poszedł na rękę podczas zakupu mieszkania. Dał też 100 tys. zł pożyczki na jego wykończenie. Termin spłaty minął w maju zeszłego roku, a ja nie oddałam jeszcze ani złotówki. I pan Mariusz wcale nie nalega na oddanie pieniędzy, bo rozumie, że mam kłopoty finansowe. Oczywiście znam tylko moją sprawę, ale wiem, że bez kłopotu znalazłoby się jeszcze kilka innych osób, którym pan Mariusz pomógł – dodaje jego klientka.

Doradca do tej pory nie został przesłuchany. Wie o śledztwie oraz o niektórych jego istotnych szczegółach. Zwierzył nam się także, że na przełomie listopada i grudnia czuł, że wokół niego robi się gorąco. Gdy pytamy go o film „Dług”, odpowiada, że oglądał go kilka razy. Podobieństw do swojej działalności nie widzi. Bo, jak tłumaczy, on nie rzuca „betonowych kół ratunkowych”, lecz pomaga ludziom.

Fragment naszej rozmowy z Mariuszem T. w jego biurze

Pana biznes jest etyczny?

Gdyby był pan na moim miejscu...

Nie chciałbym być na Pana miejscu.

Wiem, ja też pomału nie chcę być na miejscu, w którym teraz jestem. Powiem szczerze, budzenie się codziennie rano z ogromną ilością kredytów hipotecznych na głowie wiedząc, że 80-90 procent moich klientów nie chce spłacać rat, że większość ludzi mnie oszukuje... To jest naprawdę stresujące.

Miejsce publikacji:

<http://www.gloswielkopolski.pl/fakty24/359451,mariusz-t-czyli-specjalista-od-trudnych-mieszka,id,t.html> „Głos Wielkopolski”, 21.01.2011 r., strona 1 i 4-5 oraz kontynuacja: <http://www.gloswielkopolski.pl/fakty24/poznan/416790,doradca-mariusz-t-aresztowany-na-3-miesiace-zobacz-film,id,t.html> z 17.06.2001 r.

MILAN HLOUŠEK

Szeryf i były więzień z Chodova

Chodov. Siedzę wygodnie w fotelu, noga na nodze, przysłuchuję się historiom o Dzikim Zachodzie, osadach podróżników i opowieściom, które dawno już rozwił czas. Od niechcienia wodzę oczami po ścianie, skąd patrzą na mnie wodzowie indiańskich plemion i rewolwerowcy, za których głowę można by zainkasować niezłą sumkę. Można by pomyśleć, że wysiaduję na przesłuchaniu u wnikliwego szeryfa, który króluje przy podstarzałym stoliku z ledwie tłącą się lampką energicznie gestykuluje rękoma. Właśnie zaczął opowiadać historię, która powoli zmienia rysy jego pomarszczonej twarzy. Uśmiech przechodzi w grymas smutnego starca walczącego z bolesnymi wspomnieniami. Jest dokładnie tak – stary leśnik rzeczony Frank – Ladislav Nykl z Chodova (69 lat) otwiera przede mną swoją ciemną przeszłość. Dowiaduję się z niej, że

los nigdy nie wciskał go w kostium złotego chłopca, ale przydzielał mu raczej rolę banity. Niepożądanego żywołu i nieprzyjaciela reżimu komunistycznego.

Banici

Kiedy Nykl miał 17 lat, założył z kolegami grupę o nazwie Banici. Jak sam mówi, była to słabsza odnośna sławnych w tamtym czasie praskich wyszehradzkich i karlowowarskich Gorących Jeźdźców. Nie byli prawdziwymi skautami ani podróżnikami, ale po prostu po trochu wszystkim. Rozważali ucieczkę przez wzgórze, krótko mówiąc, chcieli zrobić cokolwiek przeciw ówczesnemu reżimowi, ale nie wiedzieli co. „Raczej wszystko to zostawało na poziomie paplania i młodzieńczego chwalenia się”, przyznaje Nykl.

Nad młodzieńców nadciągała już jednak czarna chmura. Był rok 1962, czeskie pnącze bratersko pięło się ku czerwonemu Wschodowi, popaść w niełaszkę było wtedy naprawdę łatwo. Młody tramp dostał się za kratki, ponieważ dwa miesiące nic nie robił, tułał się z ekipą chłopców, z którymi sprzed sklepu ukradli dwie butelki mleka. Dziś każdy by na to machnął ręką. Wtedy jednak system widział wszystko inaczej – Nykl jest wyrzutkiem, który pójdzie siedzieć na 2 lata i 10 miesięcy. „Ponieważ chcieli z nas zrobić odstraszący przykład, o którym później będą mogli opowiadać w szkołach, ogłosili nas zorganizowaną grupą umyślnie zakłócającą życie socjalistycznej wspólnoty”.

Nierozważny młodzik mocno odczuł okrucieństwo, którym rządził się ówczesny komunizm. Przed Bożym Narodzeniem został eskortowany do obozu więziennego Sýrovice przy Podbořanach.

Męka majora

To właśnie w Sýrovicach Nykl stał się świadkiem wydarzeń dowodzących potworność aparatu totalitarnego. „To się stało na wiosnę na początku prac na polu podczas okopywania rzepy. Jeden z więźniów, były zachodni lotnik, niejaki major Štiglic, zdecydował się uciec. Udało mu się po wymówce, że niby idzie do toalety. Ponieważ słabo chodził, nie mówiąc już o bieganii, zrozumiałe, że strażnicy za chwilę go dopadli. Jakże wstrząsający to był obraz, kiedy przyciągnęli go do obozu. Był cały we krwi, a przy wejściu darł się na nas kapitan, że jeśli spróbujemy uciec, skończymy jak on albo nas po prostu zastrzelą”, podniósł głos aby naśladować rozkazujący ton.

Na drugi dzień rano Štiglic wisiał na płocie przywiązany za ręce, po skroniach ciekła mu krew. „Nikt nie mógł mu dać pić czy jeść. Męczyli go tak cztery dni. Piątego dnia już go tam nie było, została po nim tylko krwawa smuga na słupku. Więcej o nim nikt nie słyszał. Domyślam się, że go gdzieś zakopali”, Nykl zamilkł na chwilę.

Zastrzeleni więźniowie

Na wiosnę 1963 roku Nykl został przewieziony z Sýrovice do kryminału v Vykmanovie Okrucieństwo tego łagru objawiło się bardzo szybko:

Był piękny letni dzień, na podwórzu obozu więziennego grupka osadzonych grała w piłkę nożną. Kiedy przez pomyłkę piłka upadła na zakazane pasmo, poszedł po nią jeden z więźniów. Zbliżył się do ogrodzenia, machnął ręką do żołnierza na wieży strażniczej, że sięgnie po piłkę. Jak tylko przegiął się przez niski płotek, zabrzmiał wystrzał. Żołnierz go niemiłosiernie zastrzelił z pistoletu maszynowego. Więzień padł martwy na ziemię...

Nyklowi ten obraz do dziś nie daje spać i woła o sprawiedliwość. Oprócz pochmurnych wspomnień i blizn na duszy z komunistycznych więzień wyniósł również poważne skutki na zdrowiu, z którymi walczy na starość. W więzieniu miał odmrożone kończyny, później przeszedł ciężką reumatyczną gorączkę z uszkodzeniem serca.

„Zaczęli się wtedy bać, że bym im tam nie umarł, to mnie przewieźli do cywilnego karlowowarskiego szpitala. Darowali mi również resztę kary i służbę wojskową”, wspominał.

Karta 77

Nyklą ciągle ciągnęło do włóczęgi. Na koniec 1970 roku założył osadę Fort Hills i założył wędrowną kapelę o nazwie Pekelníci. Później stał się nawet głównym szeryfem Zjednoczonych Karłowowskich Osad, które zjednoczyły pięć wędrownych gospodarstw z około osiemdziesięcioma ludźmi. „Po pięciu latach przekazałem gwiazdę młodszemu, a rok później wszystko się rozpadło”, klasnął w dłonie kiedyś sławny szeryf.

Początek roku 1977 minął pod znakiem kolejnych ważnych wydarzeń. Kiedy przeczytał wstępne ogłoszenie Karty 77, wiedział że musi ją poprzeć. „Ponieważ zgadzałem się z powołaniem człowieka do wolności, podpisałem i posłałem swój podpis do pewnego kolegi z Pragi. Oczywiście Karta w ogóle tam nie doszła i poszła bezpośrednio do StB (Státní Bezpečnost – czeska Służba Bezpieczeństwa, przyp. tłum.)”, Nykl wyjaśnia dlaczego jego nazwisko nie figuruje dziś na oficjalnej liście sygnatariuszy Karty 77. Po krótkim czasie został wyrzucony z pracy, zaczęły się przesłuchania i nocne przeszukania mieszkania. „Raz mi zabrali Biblię, którą zabierałem ze sobą na włóczęgi. Policjant przejrzał ją i powiedział – co to jest? Stary Testament, Nowy Testament, my ci pokazemy nasz nowy testament”.

Nieprzyjaciel

Gdzieś około 1980 roku Nykl miał się dostać na stworzoną przez StB listę tak zwanych nieprzyjacielskich osób.

„Czasem mnie śledzili, kontrolowali z kim się spotykałem i dokąd chodzę. Pytali się o mnie ludzie a oni na mnie donosili. Jako nieprzyjaciel miałem być albo zamknięty, albo przeniesiony do jakiegoś kryminału, albo zlikwidowany. Nie zdążyli jednak, bo przyszedł rok 1989 z Aksamitną Rewolucją. Kilka razy ludzie z bezpieki mi mówili, że my cię nie chcemy mieć na karku. To było polecenie, żebym się wyniósł z republiki, czego zresztą odmówiłem”, podniósł odważnie głowę stary leśnik. „Tak, moje życie było pstrokate jak amerykańska flaga”.

Niekończące się przesłuchania

Dotychczas przerażającymi doświadczeniami Nykla z komunistycznych łagrów Vykmanov i Sýrovíce interesowały się przede wszystkim media i różne portale internetowe. Obecnie jednak jego świadectwem zaczął się poważnie interesować Urząd Dokumentacji i Badania Zbrodni Komunistycznej. „Kontaktowali się ze mną, ponieważ przeczytali w Internecie mój artykuł, gdzie opisywałem rozstrzelanie młodego mężczyzny. Interesował ich jeszcze przypadek umęczenia zachodniego lotnika majora Štiglicy w Sýrovicích. Trudno było sobie przypomnieć te wszystkie wydarzenia, nazwiska współwięźniów, ale niektóre osoby sobie jeszcze przypominałem. To było przecież tylko pięćdziesiąt lat temu, a ci ludzie w większości już nie żyją”, powiedział zachmurzony Nykl.

Kiedy tego lata zeznawał do protokołu, sam przed sobą przyznał, że pierwszy raz zrobił to z chęcią. „Mi nie chodzi o jakieś karanie winnych. Chcę tylko aby w końcu zostało pokazane sedno komunizmu i powie-

działo się na głos, jak to wszystko wyglądało w rzeczywistości. Mnóstwo ludzi przecież dziś wykrzykuje, jak się mieli wspaniale za totalitaryzmu. Zapominają jednak, że gros ludzi siedziało w kryminałach, gdzie ich się męczyło i zabijało. Ciągle słyszę, że był tańszy chleb i piwo. Okropieństwa się jednak zapominają”, zaznaczył podniesionym palcem.

Osiwiałą mężczyzna siedzi ciągle naprzeciwko mnie. Nieruchomym wzrokiem utrzymuje moją uwagę i temat powoli schodzi na weselsze przygody. Szeryf wyraźnie się ożywia i rozkręca do dalszej rozmowy. Gaworzymy o jego twórczości, a ja nie nadążam śledzić

powodzi artykułów, gazet, czasopism, które wyciąga na stół. O Dzikim Zachodzie napisał tego naprawdę mnóstwo. Pisał o życiu poszukiwaczy złota, Indian, zbrodniczych desperatów, nie pominął również legendarnego Buffalo Billa, którego droga prowadziła również w nasze krainy.

Chociaż zdrowie Nykla jest nadszarpnięte, pobiera mizerną emeryturę w wysokości 6500 koron i rzadko kiedy opuszcza swoje skromne domostwo, nie przestaje być marzycielem. Nigdy nie wyprze się swojej prawdy i będzie o niej opowiadać, dokąd mu starczy powietrza w płucach. Życzymy mu dużo siły!

Miejsce publikacji:

Sokolovský deník, 23. srpna 2011, s. 3

ANDRZEJ SZATAN

Już nie ma polej, polej...

Kiedy zbliżałem się do sklepowej kasy poczułem, że po plecach cieknie mi pot, a nogi zaczynają drżeć. Butelka uwierała w bok. Cholera, lada moment, zasłonięta płaszczem, wysunie się zza paska spodni i roztrzaska tuż przed ladą. Na oczach ludzi. Spocony i z zaschniętym gardłem, nie tylko ze strachu, położyłem przed ekspedientką to, za co miałem zamiar zapłacić – dwie butki, kubek kefiru i kostkę najzwyklejszego mydła. Wysuplałem z garści dwa sześćdziesiąt siedem, o które poprosiła sprzedawczyni i położyłem przed nią.

Za chwilę będę w niebie, pomyślałem, gdy stałem już na zewnątrz marketu. Jeszcze kilkaset kroków i brama, w której nikt nie zobaczy mojej tajemnicy. I zbiwienny tyk, albo dwa.

Nagle ktoś położył rękę na moim ramieniu. Za mną stała starsza pani.

- Widziałam - powiedziała. - To jest aż tak silne? - zapytała.

Poczułem się jak nieprzygotowany uczeń wezwany przez nauczyciela, by odpowiedział na zadane przez niego pytanie. Znow oblał mnie pot. Zacząłem coś mamrotać pod nosem, coś czego sam nie za bardzo rozumiałem. Zaraz zapadnę się przed staruszką ze wstydu pod ziemię, pomyślałem. Chyba wyczuła moje zakłopotanie.

- Niech pan coś ze sobą zrobi - powiedziała. - Szkoda byłoby pana, żeby źle skończył, tak jak tamten.

I pokazała na mężczyznę, który dopiero co podniósł z ziemi peta i przymierzał się do remanentu w koszu na śmieci, a z kieszeni zabrudzonej i podziurawionej wiatrówki wystawała mu puszcza z piwem.

Mam na imię Stefan. Jestem alkoholikiem.

Ma za sobą trzydzieści lat picia. Chcę powiedzieć coś ważnego – alkohol to wspinały środek rozwiązujący. Rozwiązuje małżeństwa, rodziny, przyjaźnie, umowy o pracę, konta bankowe, wątrobę i komórki mózgowie. Nie rozwiązuje tylko jednego – żadnych problemów.

Trzy lata temu, w dwa tysiące siódmym roku, miarka się przebrała. Któregoś dnia przebudziłem się na materacu w szpitalnym korytarzu. Rozbita i zabandażowana głowa, kilka szwów. Nie pytając nikogo i o nic uciekłem. Dzień wcześniej nad ranem ktoś znalazł mnie leżącego na chodniku przed domem w kałuży krwi i zadzwonił na pogotowie. Jakiś czas później znów chodnik, policja i wstyd. I zapewnienia w pracy, że to się więcej nie powtórzy. Szef już nie uwierzył, bo wcześniejsze zapewnienia gdzieś uniósł wiatr. Jestem słaby jak mały chłopczyk, który z plecakiem pełnym książek nie potrafi przejść do szkoły położonej po drugiej stronie ulicy, pomyślałem.

- Albo przyjmuje pan moje warunki, albo się żegnamy - zakomunikował mi.

Pojechałem na pierwszy mityng Anonimowych Alkoholików do Gorzowa Śląskiego. Nie z własnej woli. To był warunek rozpoczęcia terapii. Pięciu facetów złapało się za ręce i zaczęło recytować „Boże użyż mi pogody ducha, abym zmieniał to, co mogę zmienić, odwagi, abym godził się z tym czego zmienić nie mogę i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”. Recytowałem razem z nimi czytając z kartki, która wisiała na tablicy naprzeciw mnie. Niewiele z tego rozumiałem. Nie wiem, czy Bóg istnieje, pomyślałem. Jakoś nie mogę odczuć jego obecności. Wiele razy po kolejnych zapiciach wręcz krzyczałem do niego „Boże, nie chcę tak dalej żyć - pomóż mi”. Piłem dalej. Nie pomógł mi, myślałem wtedy. Błagałem, gdy umierała moja matka, a ja przez kilka kolejnych dni piłem i nie zdążyłem się z nią przed śmiercią pożegnać. Zobaczyłem ją dopiero w trumnie. Prosiłem „Boże, wiem, że rzadko u Ciebie bywam, ale jeśli jesteś, daj mi opamiętanie”.

A po tej jakby modlitwie każdy kto chciał, po podniesieniu ręki, tak jak w szkole, i przedstawieniu się z imienia mówił do woli, co mu leży na wątrobie.

- Tu nie oceniamy, nie krytykujemy, nie udzielamy rad, każdy z nas dzieli się tylko swoimi przeżyciami - przypominał prowadzący. - Mówi o swoich smutkach i radościach, o tym co mu pomaga lub przeszkadza w zdrowieniu.

- Cieszę się, że tutaj jestem - zaczął Kazik.

- Cieszę się, że tutaj jestem - po dziesięciominutowej wypowiedzi Kazika powiedział Michał.

Brzmiało to dla mnie jak wyuczona formułka. Kurwa, pomyślałem po godzinie, z czego wy się cieszyacie? Z tego, że przed obcymi ludźmi pierzecie brudy swojego życia? Tak, brudy. Bo jeden przyznał, że zdradził żonę, drugi, że godzinami ogląda w internecie porno-le, ktoś tam jeszcze, że ma moralnego kaca, bo otworzył i przeczytał list, który przyszedł do dorastającej córki gdzieś z Polski. Czułem, że milczeniem grupa stara się zachęcić mnie do zabrania głosu, gdy wszyscy już coś powiedzieli. Nie podniosłem ręki.

Mam na imię Stefan. Jestem alkoholikiem.

Mam pięćdziesiąt pięć lat i zniszczone życie, bo alkohol był moją miłością, a na butelkę czekałem jak na najlepszą kochankę. Nie dom, nie rodzina, a woda. Przez nią kilka lat temu straciłem poprzednią pracę, rzuciła mnie żona.

- Jesteś alkoholikiem, zacznij się leczyć - mówiła mi wiele razy, gdy nad ranem wracałem do domu w stanie pozał się boże .

- Pije, kiedy mam ochotę - odpowiadałem.

- Pijesz, bo musisz - ona na to. - Zawsze do tego wrócić, jesteś tym zarażony.

- Człowiek nie kaktus, od czasu do czasu napić się musi, a życie jest jak piwo – raz jasne, raz ciemne – w wątpliwy żart starałem się obracać jej słowa.

- Opamiętaj się, bo zdechniesz kiedyś z zapicia pod płotem i pies z kulawą nogą na twój pogrzeb nie przyjdzie – usłyszałem kiedyś.

Zrobiło się tak, że żyliśmy jak dwie obce sobie osoby pod jednym dachem. Jedno co nas łączyło to wspólny zamek do drzwi. Dziś wiem, że miała rację.

Mam dwoje dzieci. Trzydziestoletni syn przed pięćmioma laty wyjechał do Anglii. Właściwie to uciekł. Mówił, że nie chce patrzeć na taki dom. Córka, dwadzieścia cztery lata, też nie ma o mnie dobrego zdania. Częściej widziała mnie pijanego niż trzeźwego, a gdy kończyła osiemnaście lat, na jej oczach policjanci wyprowadzili mnie z domu w kajdankach.

- Wstydzę się takiego ojca – tak podobno kiedyś powiedziała. Przypomniała mi o tym żona, gdy wyprowadzałem się z domu. W spadku po sobie zostawiłem zadłużenie w spółdzielni na blisko cztery tysiące i groźbę eksmisji, a potem nawet egzekucji komorniczej. Ze sobą zabrałem świadomość kilku niespłaconych bankowych pożyczek, które zaciągnąłem i bez problemów spłacałem do czasu, gdy z domu zabrał mnie policyjny polonez.

Mam na imię Stefan. Jestem alkoholikiem.

Kiedy przed trzema laty zgłosiłem się do poradni odwykowej w Oleśnie terapeutka zapytała jaki jest powód mojej wizyty.

- Jestem pijakiem – powiedziałem. – Chciałbym zmienić swoje życie. Próbowałem, ale sam nie dałem rady. Wódka była silniejsza od postanowień. Może pani mi

pomoże. Proszę! Nie chcę tak jak mój kolega, który codziennie wstaje na kacu, a nad łóżkiem ma napis „Od jutra przestaję pić”.

- Dlaczego pan pije? – zadała kolejne pytanie.

- Bo..., bo mam problemy w pracy, nie układa mi się w domu – powiedziałem po namyśle.

- A może warto się zastanowić, czy te zawodowe i rodzinne kłopoty nie biorą się z tego, że pan pije – odparła po krótkim milczeniu.

A potem były dziesiątki pytań, na które odpowiadałem najszczerzej jak potrafię.

- Pan nie jest pijakiem – powiedziała terapeutka po blisko godzinnej rozmowie. – Pan jest alkoholikiem.

- Jaka to różnica, chodzi o wódkę – odpowiedziałem.

- Duża, nawet bardzo duża – usłyszałem. – Pijak może przestać pić, ale nie chce, Alkoholik chce, ale nie może, nie potrafi.

- No, dobrze, jestem alkoholikiem – przyznałem. – I wstydzę się tego.

- Wstydzi? – zapytała i nastąpiła chwila milczenia, którą przerwała terapeutka.

- Choruje pan na coś?

- Tak, jestem cukrzykiem – odpowiedziałem.

- I wstydzi się pan tego?

Zauważyła moje wyraźne zdziwienie takim pytaniem i nim zdążyłem odpowiedzieć, że się nie wstydzę, bo co to za wstyd być cukrzykiem usłyszałem, że wstydzić się na ma czego, bo choroba alkoholowa to taka sama choroba jak moja cukrzyca i każda inna.

Na koniec zapytała czy chodziłem kiedyś po górach i to z plecakiem pełnym kamieni.

- A kto to w góry nosi kamienie? – na pytanie odpowiedziałem pytaniem.

- Zdrowienie z choroby alkoholowej to właśnie taka wspinaczka po górach – wyjaśniła. – A te kamienie w plecaku, które rzeczywiście utrudniałyby chodzenie to przykre, bolesne sprawy z pańskiego życia spowodowane alkoholem. Na pamięć nie ma gumki. Nie da się z niej nic wymazać. Dlatego trzeba o tych sprawach mówić, by przestały być ciężarem. Mówić tak długo, aż przestanie boleć. Zrozumiałem, że wypowiedzi na mitingach AA to nie „pranie brudów”. Odtąd rękę podnoszę w górę na każdym spotkaniu grupy AA.

- Jeśli uważasz, że na mitingach mówią głupoty, to podnieś rękę i powiedz coś mądrego – powiedziała mi terapeutka, gdy podzieliłem się z nią swoimi uwagami po pierwszym mitingu.

Mam na imię Stefan. Jestem alkoholikiem.

Kiedy przyszło mi na terapii napisać pracę „Historia mojego picia” o kamieniach w plecaku pamiętałem. Wyszło mi trzydzieści pięć maczkiem zapisanych stron szkolnego zeszytu. Setki kamieni. Gdy po blisko godzinie skończyłem czytać na sali zapanowało milczenie.

- Jak myślisz, Stefanie – bo na zajęciach mówiliśmy sobie po imieniu – dużo kamieni dziś wyrzucisz z plecaka? – przerwała je pytaniem terapeutka Elżbieta.

- Chyba tak, bo jest mi jakoś lżej, czuję się jakbym zmył z siebie brud – odpowiedziałem.

Pierwszy raz upiłem się, gdy miałem czternaście lat. Bimbrem na ślubie siostry. Na studiach też nie żałowałem sobie. Alkohol miał być lekarstwem na stres. W pracy mój stażowy opiekun poczuł kiedy ode mnie alkohol i wezwał na dywanik.

- Jędrak, pamiętaj – powiedział. – Pij przed pracą, po pracy, nawet w pracy, ale nigdy zamiast pracy. Jeśli łykiesz, a zrobisz co do ciebie należało udam, że nie zauważyłem. Ale gdy zawalisz robotę po kielichu, będzie źle. Chyba zbyt dosłownie wbiłem sobie w pamięć te uwagi.

Z pierwszego służbowego wyjazdu wróciłem bez okularów i w ubraniem, którego nie uratowała nawet pralnia chemiczna. Podczas pierwszej zagranicznej podróży tak się upiłem, że dobre stosunki polsko-bułgarskie były zagrożone. Któregoś roku, udając kontrolera, sprawdzałem po pijanemu bilety w miejskim autobusie, a wybryk znalazł finał na policji, bo tam pojechał kierowca. Zdarzyło się, że z meczu wróciłem do domu bez sześciolatniego syna. Wystraszona żona zaczęła go szukać – spał na złożonych fotelach w jednej z restauracyjnych sal bankietowych, o której wiedziała, że jestem jej częstym bywalcem. Rok, może dwa później znów musiała szukać dziecka. Poszedłem z nim na firmowe ognisko, wróciłem sam. Rafał, bo tak syn ma na imię, siedział o zmroku zapłakany na skraju lasu, przy dość ruchliwej drodze. Cud, że nic mu się nie stało. Kiedyś pijany zasnąłem w toalecie tej samej bankietówki, a gdy otrzeźwiałem w środku nie było już nikogo, zaś zegarek pokazywał, że godzina duchów minęła. Wykoczyłem przez okno z wysokości pierwszego piętra. Na trzeźwo pewnie bym się mocno poobijał, a może nawet i zabił, po pijanemu wyszedłem bez szwanku. Bywały dni, że moim łóżkiem był trawnik w pobliżu domu, a nawet chodnik. Do izby wytrzeźwień jednak nigdy nie trafiłem. W marcu dwa tysiące piętego wyszedłem po trzech miesiącach z aresztu, ale wyrok uniewinniający za rzekome molestowanie nie przekonał wielu. Pluli na mój widok na chodnik, dzieci rzucały

we mnie na osiedlu tym, co miały pod ręką. Chciałem popełnić samobójstwo. Lekarze odratowali mnie. Mój zaprzyjaźniony ksiądz powiedział, że to znaczy, iż jestem na tym świecie potrzebny. Uciekłem przed ludźmi ze swojego miasta na drugi kraniec Polski.

Wystarczy tych przykładów z mojej „Historii picia”.

- Żyjesz z dobrej pracy? - zapytał mnie po kilku latach kolega ze studenckich czasów.

- Pije z dobrej pracy - odparłem zgodnie z prawdą.

Mam na imię Stefan. Jestem alkoholikiem.

Nauka nowego życia trwała dwa lata. Przez pół roku trzy razy w tygodniu. Dwadzieścia kilometrów - czasami autobusem, czasami rowerem, a bywało, że na piechotę. Nie wszystkim się udało. Potem dwa razy po trzy godziny.

- Cześć tato, czekałem na ten telefon od pięciu lat - usłyszałem w słuchawce, gdy już jako trzeźwiejący alkoholik zadzwoniłem do Anglii do syna.

W oczach miałem łzy, głos trząsł mi się ze wzruszenia. Dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej, pytałem w myślach sam siebie.

- Wiem od mamy, że przestałeś pić, że walczysz z alkoholem - powiedział. - Cieszę się z tego bardzo.

- Ja nie walczę, synu - odparłem. - Z wódką nikt nie wygra. Ja się uczę żyć obok alkoholu.

Od tamtej rozmowy angielski numer wybieram w telefonie często. W Sylwestra dwa tysiące dziewiątego to syn pierwszy zadzwonił do mnie z życzeniami.

- Kocham cię tato - usłyszałem na koniec.

- Ja ciebie też - powiedziałem. - A za wszystko co było, przepraszam.

I znów łzy, już poza słuchawką. „Kocham cię” - nigdy wcześniej nie słyszałem tego słowa od syna, nawet gdy chodziłem z nim na poranki do kina, jeździłem na wakacje, kupowałem prezenty, czy też ukrywałem przed żoną jego młodzieńcze wybryki. Chyba nikt go nie postawił pod ścianą i nie celował z karabinu, że mi to powiedział ze strachu, pomyślałem.

Córkę Marzenę też odzyskałem. Choć nie mieszkamy razem od sześciu lat, odkąd przestałem pić często się odwiedzamy. To u mnie, w małym wynajętym pokoiku, zwierza mi się z największych życiowych tajemnic. Tylko żona nie potrafi mi wybaczyć pijanego życia. Wiem, zgotowałem jej piekło na ziemi. Niedawno powiedziała, że złoży wniosek o rozwód.

- Zapłacisz mi za moje zmarnowane życie - zapowiedziała.

Cóż, kłopot z życiem polega na tym, że nie ma okazji go przeciwyczyć i od razu wszystko robi się na poważnie.

Sprzątanie życia trwa... „Boże użyż mi pogody ducha, abym zmieniał to, co mogę zmienić, odwagi, abym godził się z tym czego zmienić nie mogę i mądrości, abym odróżniał jedno od drugiego”.

- Ja zmieniłem w mózgu olej, już nie będzie polej, polej - żegnałem się z kolegami po zakończeniu terapii.

Mam na imię Stefan. Jestem alkoholikiem.

Dlaczego tak często to powtarzam? Żeby kiedyś mówiąc to po raz kolejny usłyszeć tylko „Mam na imię Stefan”.

Miejsce publikacji:

„Kulisy Powiatu Olesno Kluczbork”, 21 października 2011, str.6-7

BARTŁOMIEJ KURAŚ

Czy ten Karłowicz to był hitlerowiec?

W tej kategorii wyróżniliśmy teksty których celem jest włączenie do popularnej narracji wątków historycznych – także opowiedzianych z perspektywy pojedynczego człowieka, popularyzujące dziedzictwo kulturowe, budowanie i wzmacnianie tożsamości lokalnej. Autorzy nie uciekali od kontrowersji i pisanie o sporach dwóch przeciwstawnych narracji historycznych, zauważyliśmy więc teksty, których celem jest zbliżenie i większe zrozumienie między społecznościami. Oczywiście, nie tylko. Dzięki tekstom pokazującym lokalne uwarunkowania kulturowe czy wydarzenia historyczne poprawia się też dialog między

pokoleniami oraz spójność społeczna, lokalne społeczności zyskują narzędzie pozwalające im opisać swoją odrębność i wyjątkowość w globalnej wiosce. Czy to cenne? Tak, dzisiaj nawet tradycja przekłada się na pieniądze: społeczności które utrzymały lub odbudowały swoją tożsamość kulturową czynią z niej atut w walce o turystów i dodatkowe środki unijne. W tej kategorii konkursowej nie przesadzamy, które podejście jest lepsze: romantyczna budowa tożsamości lokalnej, czy pragmatyczne wykorzystanie jej do promocji turystyki i uczestnictwa w programach międzynarodowych.

- To nie jest żaden artystyczny performance czy happening. Prowadzimy tylko akcję informacyjną o tym, że nie każdy znak swastyki musi się źle kojarzyć – mówi Jacek Wiktor Ajdinović, prezes Stowarzyszenia Artystów Polskich. Artyści chcą w ten sposób bronić dobrego imienia zmarłego w 1909 roku kompozytora i taternika Mieczysława Karłowicza. Ajdinović jest młodym (rocznik 1985) polskim muzykiem o korzeniach bośniackich. Mieszka w Krakowie. W Nowej Hucie ukończył Szkołę Muzyczną im. Mieczysława Karłowicza. Gra na wiolonczeli, komponuje. Koncertował m.in. na festiwalu Warszawska Jesień i w Centrum Kultury Żydowskiej Fundacji „Judaica” na krakowskim Kazimierzu. Z nacjonalizmem nie jest mu po drodze, mówi, że ma awersję do faszystujących zachowań.

Swastyka na szlaku

Ale mimo niechęci do faszyzmu Jacek Wiktor Ajdinović postanowił postawić w Tatrach tablicę poświęconą symbolowi swastyki. Kierowane przez niego Stowarzyszenie Artystów Polskich prowadzi akcję, która ma do tego doprowadzić.

- Przeciętnym turystom swastyka przywodzi na myśl jedynie faszyzm. Kuriozalne jest to, że takie skojarzenia padają w miejscu, gdzie zginął człowiek bardzo zasłużony dla kultury Polski i Tatr – argumentuje Ajdinović.

Tłumaczy, że turystom idącym tatrzańskim szlakiem przez Dolinę Gąsienicową w stronę Czarnego Stawu Gąsienicowego, skąd można wspiąć się na Orlą Perć, rzuca się w oczy wyraźny znak swastyki wyrzyty na

sporym głazie upamiętniającym śmierć Mieczysława Karłowicza.

Karłowicz był wybitnym kompozytorem, taternikiem, narciarzem, fotografem. Zginął przed stu laty – 8 lutego 1909 roku – w lawinie, podczas samotnej wycieczki narciarskiej na zboczach Małego Kościelca. Właśnie w tym miejscu postawiono później granitowy głaz, zwany Kamieniem Karłowicza, z napisem: „Non omnis moriar” („Nie wszystek umrę”) i wyrytą swastyką.

Dlaczego akurat ze swastyką? Bo był to ulubiony symbol kompozytora. Na początku XX wieku często, wędrując po Tatrach, znaczył nowe szlaki, malując na skałach właśnie niewielkie swastyki.

- Ten znak na Podhalu nie mógł mieć wtedy nic wspólnego z ideologią nazizmu, która przecież narodziła się dopiero po śmierci Karłowicza – tłumaczy Ajdinović.

Młody krakowski kompozytor postanowił zająć się swastyką po tym, co opowiedziało mu małżeństwo polskich muzyków mieszkających od 30 lat w Paryżu, którzy każdego roku odwiedzają Tatry.

- Nieraz, przechodząc szlakiem w pobliżu Kamienia Karłowicza, słyszeliśmy od przygodnych turystów komentarze w stylu: „Patrzenie, tu zginął jakiś nazista, bo swastykę mu wyryli na grobie” albo „Czy ten Karłowicz to był jakiś hitlerowiec?” – opowiada Aleksander Woronicki.

- Postanowiliśmy zainteresować sprawą polskich muzyków, by bronić czci Mieczysława Karłowicza. Bo przecież nie można dalej pozwalać na szarganie jego dobrego imienia. Stąd pomysł postawienia ta-

blicy w Tatrach. Na własne uszy słyszeliśmy, jak niektórzy przewodnicy tatrzańscy nie potrafili wyjaśnić turystom pochodzenia znaku swastyki na Kamieniu Karłowicza. Może woleli nic nie mówić o swastyce? A przecież minęło tyle lat od II wojny światowej, że wyjaśnienie symboliki znaku swastyki nie powinno w Polsce budzić już takich emocji – zastanawia się Nina Woronicka.

Woronicy zauważyli też, że w czasach PRL-u autorzy książkowych przewodników mieli problem z objaśnieniem znaku na Kamieniu Karłowicza. W przewodniku „Tatry Polskie” autorstwa Józefa Nyki (Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1973) napisano: „Znak rodła u dołu pomnika był jego ulubionym symbolem”. Cenzorom nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł lubić symbol swastyki, choćby nawet na długo przed powstaniem III Rzeszy. Dlatego podali, że znak Karłowicza to rodło – symbol stylizowanego biegu rzeki Wisły z zaznaczonym Krakowem jako kolebką polskiej kultury. Władzom PRL-u taki znak bardziej pasował do Karłowicza.

- Chcemy skończyć z przemilczaniem pochodzenia znaku swastyki na Kamieniu Karłowicza – dodaje Woronicki.

Krzyżyk niespodziany miał chronić od złego

Skąd się wzięła swastyka na Podhalu na początku XX wieku? Zofia i Witold Paryscy tak napisali w „Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej” o swastyce: „Jako znak niewątpliwie symboliczny (magiczny?) pojawia się od dawna na Podhalu jako tzw. krzyżyk niespodziany,

w nierzucających się w oczy miejscach danego przedmiotu (od spodu, od tyłu) (...). Według starych górali krzyżyk niespodziany (zwykle w postaci prostych lub bardziej ozdobnych nacięć w drewnie), umieszczony w niepokąznym miejscu, chroni od złego budynek lub sprzęt i jego właściciela. Na przełomie XIX i XX w. (...) swastykę zaczęto w ówczesnej literaturze coraz bardziej łączyć z góralszczyzną podhalańską. Ok. 1922 r. stała się oficjalną odznaką pułków podhalańskich gen. Andrzeja Galicy; w latach międzywojennych znalazła się też swastyka na pieczęci Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego i jako ornament na balustradzie schodów w Murowańcu na Gąsienicowej Hali. Nieco wcześniej sam Witkiewicz dał wyryć swastykę nad wejściem do budynku Muzeum Tatrzańskiego (...).”

Kiedy w 1939 roku do Zakopanego wkroczyli hitlerowscy żołnierze, nie kryli zadowolenia z tak niespodziewanego widoku.

Pewnie dlatego górale nie są skorzy do przywracania tego ornamentu we współczesnej sztuce podhalańskiej.

- Moja rodzina od lat zajmowała się na Podhalu wytwarzaniem ozdobnych okuć. Prawda, że motyw krzyżyka niespodzianego pojawiał się w tatrzańskiej symbolice. Ale ja bym dzisiaj nie próbował na siłę przywracać dawnego znaczenia tego znaku na Podhalu – Andrzejowi Gąsienicy-Makowskiemu, staroście tatrzańskiemu, nie podoba się akcja artystów. – Bo wiadomo, że po doświadczeniu hitleryzmu swastyka z niczym dobrym już się w Polsce nie może kojarzyć. Gdybyśmy chcieli dzisiaj przywoływać ten znak w

zdobnictwie Podhala, to jestem pewien, że od razu pojawiłyby się skojarzenia z III Rzeszą, z akcją Goralenvolk, podczas której hitlerowcy wmawiali góralom, że są dawnym szczepem germańskim... Lepiej zostawić swastykę w spokoju. Mamy na Podhalu wiele innych piękniejszych ornamentów. A krzyżyk niespodziany po wojnie już prawie całkowicie zniknął z Podhala i nikt tu za nim nie tęskni.

Zbyt wcześnie na taką akcję

Stowarzyszenie Artystów Polskich zbiera w Internecie głosy poparcia dla swojej akcji. Artyści wystali też w tej sprawie list do dyrekcji Tatrzańskiego Parku Narodowego. Nie spotkali się z przychylnością.

- Na Podhalu każdy wie, że znak na Kamieniu Karłowicza nie ma nic wspólnego z faszyzmem – argumentuje Zbigniew Krzan, wicedyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego. – Ignorancja nie jest dostatecznym powodem dla postawienia tablicy poświęconej temu symbolowi. Poza tym w parku narodowym staramy się stawiać jak najmniej jakichkolwiek tablic.

Wątpliwości ma też Dariusz Libionka, historyk specjalizujący się w badaniach na zagładą Żydów i w historii Polski XX wieku.

- Wydaje mi się wiedzą powszechną to, że w żaden sposób nie da się połączyć kompozytora Mieczysława Karłowicza z ideologią faszystowskich Niemiec. Jeśli jednak ignorancja w polskim społeczeństwie jest aż tak wielka, jak twierdzą to artyści, to należałoby poważnie zastanowić się, co dokładnie umieścić na takiej tablicy, by podkreślić, jak symbolika swastyki

jest odbierana po doświadczeniach nazizmu - uważa Libionka.

Dla prof. Władysława Bartoszewskiego - więźnia Auschwitz, żołnierza Armii Krajowej, działacza Polskiego Państwa Podziemnego, uczestnika Powstania Warszawskiego - symbolika swastyki od czasów Hitlera jest jednoznaczna.

- Znak swastyki jest związany z zagładą ludzi zamordowanych przez hitlerowców. To wciąż jest straszny symbol dla osób, które przeżyły II wojnę światową i dla sierot po ofiarach nazizmu. Należy uszanować ich uczucia. Wiem, że swastyki nie wymyślili hitlerowcy i że ten symbol od wieków jest powszechny choćby w Indiach. Ale żyjemy w Polsce i mamy takie, a nie inne doświadczenia historyczne. Dlatego byłbym bardzo

ostrożny w przywracaniu tego znaku w przestrzeni publicznej, bo to może różnym ludziom mieszać w głowach. Moim zdaniem pamięć o nazistowskich zbrodniach, których swastyka była symbolem, jest jeszcze w Polsce zbyt świeża. Może za jakieś 200 lat te emocje nie będą już tak silne i wtedy w Polsce będzie można przywracać symbolowi swastyki jego pierwotne znaczenie - uważa prof. Bartoszewski.

Artyści obstają jednak przy swoim.

- Niemówienie o tym, że swastyka była przed wojną na Podhalu odbierana jako pozytywny znak, to zniekształcanie rzeczywistości - twierdzi Jacek Wiktor Ajdinović.

Miejsce publikacji:

strony lokalne Gazety Wyborczej - Kraków nr 231, wydanie z dnia 02/10/2009 Tematy na Piątek, str. 12

LUBOŠ PŘÍHODA

Rok 1969 w Libercu

Reżim chciał wymazać z pamięci ofiary sierpnia 1968

Nie upłynął nawet rok od okupacji Czechosłowacji przez wojska pięciu armii Układu Warszawskiego, kiedy po wyborze Gustava Husáka w kwietniu 1969 na czoło KPCz, zaczął się okres ostrej normalizacji. Wszystkie organy władzy napluły sobie w twarz i odwołały swoje oświadczenia z sierpnia 1968 roku o okupacji i bezprawiu. Słowo okupacja musiało zniknąć z dziejowego słownika, zostało ono zastąpione braterską, międzynarodową pomocą.

W marksistyczno-leninowsko-breżniewowsko-husakowskim przewartościowaniu zbrodni wojennej, jak nazywał okupację francuski filozof Jean-Paul Sartre, nie było nawet miejsca dla dziewięciu libereckich ofiar

włącznie z ośmioletnią Nádénką Škávovou oraz jej siedemdziesięcioczeroletnią babcią Marią Vodákovą z Děsnej na Jablonecku. Pamięć o nich miała być wymazana z pamięci współczesnych i ich potomków.

Nawet odrobiny litości

Kampania „przewartościowania”, a raczej przekręcania wydarzeń sierpnia 1968 osiągnęła apogeum w rejonie Liberca poprzez wydanie tzw. „Pouczenia [płynącego] z kryzysowego rozwoju [sytuacji] w powiatowej organizacji partyjnej oraz w powiecie Liberec” z roku 1971. Już dużo wcześniej zniknęły z miasta metalowe tablice z nazwiskami ku czci ofiar. Zostały one stopione pod nadzorem w ostaszowskiej odlewni. Haniebny pamflet „Pouczenie”, który szereg ludzi

pozbawił pracy, wydał ich na pastwę prześladowań, a ich rodziny naraził na biedę i głód, nie brzydził się rzucić winy za ofiary w Liberce... nie, o dziwo nie na same ofiary, ale też na pewno nie na „braterską pomoc międzynarodową”.

„Na zawsze odpowiedzialność za ten tragiczny skutek, ośmiu martwych w Libercu, pozostanie na koncie ówczesnego kierownictwa powiatowego komitetu KPCz, rady ONV (Powiatowej Komisji Narodowej - przyp. tłum.) oraz Miejskiej Komisji Narodowej, to wynik naiwnego i nieodpowiedzialnego przyglądania się dezorganizacji w partii i w państwie, niekonstytucyjnego wytwarzania kontra-rewolucyjnych organizacji... Nie dziwne, że kiedy w skrajnie krytycznej sytuacji znajdzie się paru poszukiwaczy przygód, którzy prowokują starcia, na tym poziomie musi się to skończyć tragicznie. Przy czym wielokrotnie, jak jest wyraźne i w tym przypadku, ofiarą padają również obywatele, którzy nie uczestniczą aktywnie w prowokacji”.

Niepożądana i niedopuszczalna

W kolejnych latach o ofiarach sierpnia 1968 nie ma już w środkach przekazu nawet żadnej wzmianki. Wzmianka taka była „niepożądana i niedopuszczalna”. Nie była dopuszczalna już nawet w sierpniu 1969 roku, kiedy to położenie kwiatów w miejscach pamięci było traktowane prawie jak przestępstwo. – Wejście sojuszników wojsk dnia 21. sierpnia 1968 roku było wielkim moralnym aktem pomocy międzynarodowej – powiedział główny sekretarz Powiatowej Komisji KPCz Adolf Hájek [...] Tego, że sama okupacja, która pogrzebała próby reform Praskiej Wiosny, była krwawą tragedią, władze

z bolszewickim cynizmem ani przez chwilę do siebie nie dopuszczały.

O co komu chodziło

Po Pradze i Brnie, Liberec był trzecim miastem w kraju, które demonstrowało opór wobec okupacji, a w sierpniu 1969 otwarcie wystąpiło przeciw ustalonej polityce Centralnego Komitetu KPCz. Do sprowokowania tych wydarzeń zmierzały przygotowania StB (czeskie Służby Bezpieczeństwa - przyp. tłum.). [...] Wszystko wskazuje na to, że obok siebie funkcjonowały dwa sztaby z różnymi zadaniami: jedna komisja koordynująca i jedna nadzwyczajna, które przygotowywały agentów i prowokatorów zamieszek, co uzasadniłoby interwencję jednostek zbrojnych. Chodziło o „sprowokowanie jak najpoważniejszej akcji, która nie tylko wytłumaczyłaby masową i ostrą interwencję, ale dzięki udowodnieniu u nas istnienia kontra-rewolucji, zdobyła pełną zasadność 'braterskiej pomocy'! Stąd ZSRR przykładało do niej tak wielką wagę. Gwarantem akcji był naczelnik StB... Jednocześnie jednak z przygotowaniem prowokacji we wszystkich organach przebiegało przygotowanie środków, które miałyby zapobiec masowym akcjom 21.8.1969” (Kronika wydarzeń 1968-1971 dla tzw. Komisji Menzla).

Już 5. sierpnia kierownictwo powiatowej komisji KPCz w libereckiej gazecie Vpřed drukuje odezwę do wszystkich obywateli: „Trzeba zapobiec strzałom, ekstremalnym akcjom, nieroztropnym postępowaniom – pomóżcie w sierpniowych dniach zapewnić porządek, spokój i bezpieczeństwo wszystkich obywateli naszego powiatu! [...]”.

Niepokój wisiał w powietrzu

W ostatniej chwili, 19. sierpnia, Vpřed drukuje (analogiczną) odezwę do „Obywateli regionu Liberca”, kierownictwa powiatowej komisji Frontu Narodowego i rady ONV w Libercu. Mówi ona między innymi o tym, że „w powiecie odkryto kilka prób nielegalnej dystrybucji ulotek, różnych hasel, instrukcji, osobistej perswazji i innych różnych sposobów wywoływania nieporządku”. Do odezwy na pierwszej stronie Vpředu pod tytułem „Spokój i porządek – gwarancja konsolidacji” dołączyły się również niektóre firmy i fabryki [...]. Opinię podpisuje też kierownictwo KPCz i ROH (Revoluční odborové hnutí – Rewolucyjny Ruch Specjalistyczny - przyp. tłum.) oraz dyrektorzy, a najczęściej pojawiające się w niej słowa to „nie dopuście, nie pozwólcie, skazujemy”.

Tego dnia we wtorek zebrało się nadzwyczajne posiedzenie rady ONV. O tym, czego dowiedział się od aktywistów funkcyjnych w Usti nad Łabą, w którym udział wzięło ponad 1200 osób, a przemawiał na nim sam Jozef Lenárt, informował sekretarz ONV Josef Peci. Na przykład o tym, że dochodzi do rozkradania broni, i to w naszej armii, że w ČSSR jest ponad tysiąc emigrantów z zagranicy, że z Pragi są rozsyłane ulotki, że sowieccy turyści są napadani, a komisje narodowe niech lepiej uważają na studentów i szkoły średnie. [...]

Jeszcze się nic takiego nie stało

Niepokój na ulicach Liberca zaczął się szerzyć już w wieczór poprzedzający rocznicę „Dnia hańby”. Do takiego nazywania 21. sierpnia zachęcało kopiuwane

i kolportowane przez organy władzy „dziesięć przykazań” wskazujące obywatelom, jak powinni zachowywać się tego dnia. Ludzie 20. sierpnia 1969 „w godzinach popołudniowych składali kwiaty w miejscu, gdzie w sierpniu 1968 zginęli libereccy obywatele, czy to zastrzeleni przez sowieckich żołnierzy, czy to przez zawalenie się ściany po uderzeniu sowieckiego czołgu w łuki filarów hotelu Radnice. Do kwiatów stopniowo dokładano również chorągiewki, wieczorem zapalano znicze”. Poszczególne miejsca były oznaczane metalowymi tablicami z nazwiskami ofiar. Wokół tych miejsc przybywało coraz więcej ludzi.

Rezerwy czyhały za bukiem

O godzinie dziewiętej wieczorem komisja koordynacyjna na czele z pierwszym sekretarzem OV KPCz Štěpánkem zadecydowała, że czołowi funkcjonariusze będą namawiali ludzi do rozejścia się. Tak się jednak nie stało i przy poczcie głównej została około setka młodych ludzi. O godzinie 23. komisja koordynacyjna dała sygnał VB (Bezpieczeństwo Publiczne - przyp. tłum.), która zamknęła przestrzeń placu wokół teatru i pozostawiła do odwrotu jedynie ulicę Sokolską. W rezultacie młodzi ludzie faktycznie się rozeszli, ale dziesięć osób było zatrzymanych i przesłuchiowanych.

„W akcji uczestniczyło sześćdziesięcioro funkcjonariuszy VB, była również przygotowana dodatkowa jednostka w liczbie 31 mężczyzn). Podczas akcji nie użyto nawet jednej pałki (jeszcze nie!) ani żadnych innych środków bezpieczeństwa. Nikt nie został ranny. W pobliżu jednostek VB na ulicy Pasterskiej umieszczono również

jednostkę Milicji Obywatelskiej w liczbie 30 mężczyzn w razie potrzeby. Nie została ona jednak wykorzystana. Kwiaty spod ratusza po północy zostały wywiezione, w kilku miejscach wywieszono czarne flagi”.

Taka sytuacja oczywiście nie odpowiadała StB, która miała inne cele. Głównym grzechem było gdzienie-gdzie rzucone hasło, ludziom jednak w zasadzie nie chodziło o nic więcej, niż o prawo złożenia kwiatów w miejscach, gdzie nasi obywatele ponieśli śmierć. Kulminacyjne wydarzenia miały się zdarzyć dopiero następnego dnia.

Dostał parę policzków

Liberec, czwartek, 21. sierpnia 1969. Część obywateli ignoruje transport publiczny i idzie do pracy pieszo. Ci odważniejsi są ubrani na czarno albo chociaż zawiązują czarną opaskę na rękawie. Na kominie Textiliany świeci wielki biały napis „Husák to dureň”. Będzie tam widniał jeszcze kilka dni, aż znajdzie się ktoś, kto go usunie. Nikt dotąd nie wie, co będzie się działo, ale gdzieś czyha już uzbrojona siła i czeka na swoją okazję. Przy tablicach pamiątkowych przed południem pojawia się coraz więcej kwiatów. W okolicach ratusza przybywa ludzi. Funkcjonariusze VB starają się przekonać wszystkich, aby składali kwiaty w ogrodzie krematorium.

„Stopniowo na placu zebrało się około osiem tysięcy ludzi. Dopiero teraz prowokatorzy zaczęli spełniać swoje zadania. Na przykład w raporcie VB przeczytamy, że grupa młodych ludzi napadła na ulicy Praskiej obywatela, który czytał Rudé pravo, że go obrazili i

napastowali. Chodziło o pana Drázskiego, który niewątpliwie pełnił funkcję wspomnianego prowokatora. Przypadek ten rozdmuchano później i wykorzystywano. Nadszedł również rozkaz o policyjnym usunięciu ludzi z ulic”.

Prowokator jako narrator

Incydent ten został później opowiedziany przez pana Josefa Drázskiego w artykule w periodyku „Dělník studentům”.

„W okolicach ratusza stały grupki młodzieży” drukuje Vpřed 16. września. „Przysłuchiwałem się chwilę ich rozmowom i muszę przyznać, że nie miały nic wspólnego z nastrojem uczczenia ofiar. Chodziło wyłącznie o obrażenie partii komunistycznej, towarzysza Husaka, Związku Sowieckiego oraz jego armii. Widziałem jak niektórzy wydzielali ludziom z rąk komunistyczne czasopisma, darli je na kawałki i rzucali na stertę kwiatów i zniczy... wziąłem z tej kupy kilka podartych czasopism i poszedłem zgłosić to w powiatowej komisji KPCz”.

Drázsky opowiada również, jak przy kinie Lipa dopadło go około dziesięciu młodzieńców, „zorganizowanych bojówkarzy” i zaczęli go bić. Ochronił go patrol VB. [...]

„Wyparcie ludzi z ulic VB przeprowadzała z pomocą ČSLA (Czechosłowacka Armia Ludowa). Ludzie odpowiadali na tę akcję piskami, krzykami przeciwko VB i władzom, ponieważ ta uniemożliwiła uczczenie pamięci poległych poprzez zwyczajne złożenie kwiatów”. [...]

Do akcji weszły pałki

Wraz z powrotem ludzi z pracy, wzrastała ich liczba na ulicach miasta. Policja powtarzała komunikaty o rozejściu się i zaczęła opróżniać ulicę Praską. Ludzie na nasilający się nacisk odpowiadali „kolejnymi krzykami, rzucaniem kamieniami i kawałkami cegieł albo rozbijaniem wystaw sklepowych. Do akcji weszły pałki, gaz łzawiący...”. Jednostki Milicji Obywatelskiej na tym etapie również zostały włączone do akcji, w większości dowieszone z innych południowo-czeskich powiatów. [...]

„Kiedy dojechaliśmy do Liberca, sytuacja była już tutaj w znacznej mierze krytyczna” powiedział w czesko-lipskim czasopiśmie Nástup z 28. sierpnia jeden z milicjantów. „Większość funkcjonariuszy VB było rannych, wielu z nich było opatrywanych przez lekarzy, także z wdzięcznością przyjęli nas jako zmianę na ulicy Praskiej, gdzie działanie kontra-rewolucyjnego żywiołu było najgorsze...”, byliśmy pod gradem kamieni. Chuligani strzelali do nas z procy śrubami, rzucali torby z dachów, wrywali okna i zrzucali je na nas. [...] Na barykadzie przy obuwniczym na ulicy Praskiej rzucano nie tylko popielnicami, ale również deskami z okolicznych budynków, które chuligani zapalali za pomocą nafty... Dopiero po wspólnej akcji zjednoczonych sił bezpieczeństwa i opancerzonych wozów udało się zlikwidować tę zapalną działalność”.

Opowiadanie tych wydarzeń przez „bohaterskich” milicjantów było oczywiście celowe.

„Zostawcie go, jest nasz!”

StB miała w Liberku silne oddziały i zorganizowała rzekomo około trzydziestoosobową grupę swoich informatorów i agentów. Miała ona za zadanie „sprowokować młodych ludzi przeciwko funkcjonariuszom VB, którzy tylko czekali na ulicach na rozkaz interwencji”. „Prowokatorom udało się podburzyć znaczną część młodych ludzi i zainicjować pochód z placu Gottwalda ulicą Praską w kierunku ratusza”.

Ktoś – rzekomo wysoko postawiony towarzysz – miał pomiędzy demonstrantami rozwozić kanistry z benzyną, kije i kamienie. Na ulicy Praskiej nie udało mu się jednak uniknąć uderzających zewsząd pałek policyjnych, nawet mimo, że „ubecy”, którzy poruszali się w tłumie starali się go ochronić krzykami „Zostawcie go, jest nasz!”. Analizy faktografii tych wydarzeń do tej pory nie są wyczerpujące, chociaż w roli naocznych świadków na ulicach były tysiące ludzi.

W reżyserii władzy państwowej

Według noty urzędowej wojewódzkiej administracji SNB w Usti nad Łabą [...], 21. sierpnia o godzinie 13. interwencja przyciągnęła do Liberca kolejne „pięć czy sześć tysięcy ludzi”. Dopiero później „rozgromiony tłum” został wyparty z ulicy Praskiej.

V dzienniku Průboj pisano: okazało się, że młodzi ludzie byli nie tylko z Liberca, ale również z bliższej i dalszej okolicy. Skupili się na placu Gottwalda, skąd znowu zaczęli napływać na ulicę Praską. W tym czasie

popierali ich również starsi: „Nie dajcie się! Nie dajcie się! Dawajcie na nich! Prawda zwycięży!”

„Jaka prawda?” – pyta Průboj z 25. sierpnia już w duchu linii husakowskiej. „Chyba nie ta o socjalizmie z ludzką twarzą?” [...] „Chwyć [tłum] za wyrwane płyty chodnikowe i materiały budowlane i zranił kilku funkcjonariuszy jednostki VB. Rozbił kilka wystaw okiennych, ograbił je, wtargnął do baru Dunaj, posilił się napojami, winem i piwem, zaczął budować z materiałów rozbiórki, ławek parkowych i popielnic barykady, strzelał z proc metalowymi matrycami i innymi przedmiotami, ciskał butelkami z materiałami łatwopalnymi i petardami, zranił kolejnych osiemnastu obrońców porządku”.

„Ponieważ sytuacja stawała się z każdą chwilą poważniejsza, nie pomogło zastosowanie środków chemicznych i armatek wodnych, po północy przystąpiono do zdecydowanych działań przy pomocy opancerzonych transporterów. Akcja przywracania porządku zakończyła się dopiero po drugiej w nocy”.

„Nie można również nie wspomnieć z podziwem o odwadze, rozwadze i zachowaniu zimnej krwi przez obrońców porządku, nawet bez jednego strzału”(!) streszcza protokół SNB Průboj „żeby obywatele województwa północno-czeskiego mieli jaśniejszy obraz o tym, jak kontra-rewolucja zaatakowała republikę socjalistyczną”.

Węszyli jak policyjne psy

Kiedy w nocy z 21. na 22. sierpnia w Libercu było już praktycznie po wszystkim, zaczęło się polowanie na

ludzi. Wyraźnie rozgrzani milicjanci czesko-lipskich sił szybkiego reagowania na zakończenie akcji w Libercu wykazali się jako niezwykle sprawne psy policyjne. „Nasi funkcjonariusze uczestniczyli w przeszukiwaniu okolicznych ruin, krzaków i ogrodów, w których odnaleziono całe zastępy awanturników”, chwala się milicjanci w artykule „Jak to było w Libercu”, wydrukowanym w Nastupie 28. sierpnia 1969 roku. „Wielu znaleźliśmy w katakumbach pod barem Dunaj, gdzie wypijali skradzione wino. Jeden z awanturników był nawet cały wypchany papierosami z pobliskiego kiosku..., najmłodszy z awanturników był uczniem pierwszej klasy, pozostali byli w większości ich starszymi kumplami, a do tego jeszcze różni włóczędzy w średnim wieku”.

Milicjanci na pewno dostali należyte instrukcje. Ich rolę w akcji uświetlił dodatkowo powiatowy aktyw Milicji Ludowej w Czeskiej Lipie, który miał miejsce 13. sierpnia, zatem tydzień przed rocznicą. Zeszli się przedstawiciele KPCz, wojska, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i delegacja wojsk sowieckich. Przemówił do nich wojskowy generał i członek Centralnego Komitetu KPCz Otakar Rytíř. W swoim oświadczeniu z aktywu wygłasza: „Jako frontowy aktyw partii pomożemy w konsolidacji stosunków... i zapewnimy spełnienie dyrektyw sztabu CK LM, które były przekazane jednostkom”.

Polowanie na ludzi ilustruje również świadectwo pewnej D.M. z Liberca, które przy jakiejś innej okazji wśliznęło się libereckiemu periodykowi Vpřed z 9. września 1969 (w tym czasie już oddanie prowadzonego

„dla zdrowego jądra partii” przez redaktora naczelnego Eduarda Žďárskiego): „W pobliżu kina Lipa, kiedy na placu Gottwalda wszystko już się skończyło, jedna pani otworzyła nam drzwi i wpuściła do środka,

żebyśmy się schowali, bo by nas tam pewnie utłukli”.

Uwaga: Jeśli nie przedstawiono inaczej, cytaty opierają się o treść Kroniki wydarzeń 1968-1971 dla tzw. Komisji Menzla. Tekst skrócony. Całość opublikowana w wersji czeskiej

Miejsce publikacji:

Kalmanach 2009, Kruh autorů Liberecka, Liberec, s. 18-20

JACEK DROST

Chłop babie robi koronkę

Szukaliście kiedyś igły w stogu siana? Ja tak. I jeśli chodzi o ścisłość, to nie igły, a koronczarzy i nie w stogu siana, lecz w Koniakowie, ale prawie na jedno wychodzi. Nie pomogła mi miejscowa władza świecka, niewiele mogłem liczyć na władzę duchową we wsi, nie mówiąc o koniakowskich służbach mundurowych. A jednak znalazłem koronczarza! – pisze Jacek Drost

Robił pan kiedyś koronki? – rzuciłem z głupia frant do rowerzysty, który pojawił się na horyzoncie. – Jo? Ni... – odrzekł starszawy góral, po czym odjechał pośpiesznie, jakby bojąc się, że pociągnę go za język i jeszcze coś się wyda.

Do Koniakowa, najwyżej położonej wsi na Śląsku, dojechałem na resztkach paliwa. Siedziałem na krawężniku, paliłem papierosa i zastanawiałem się, jak wróćę

z powrotem, bo do najbliższej stacji benzynowej jest jakieś 7 km i bałem się, że pokonując te wszystkie podjazdy, zjazdy, esy-floresy nie dociągnę do dystrybutora.

Nurtował mnie jeszcze jeden problem – koronki. Koronki koniakowskie, o których miałem napisać tekst. Spróbowałem więc uporządkować myśli: mówisz Koniaków – myślisz koronki. Myślisz koronki – dodajesz koronczarki. I wszystko jasne. Koniaków koronkami stoi jak świat światem i nie ma chyba siły na niebie i ziemi, która by to zmieniła. Panie od iks lat robią zapierające dech w piersiach serwety, obrusy, a nawet uruchamiające męską wyobraźnię fikuśne stringi, które rozstawiają ową niewielką beskidzką wieś na każdym kontynencie. Są tak słodkie i sławne jak coca-cola, a może jeszcze bardziej. Powstała na ten

temat fachowa literatura. Nic dodać, nic ująć. Kiedy tak beznadziejnie dumałem nad tym, co tu jeszcze napisać na temat koronek, na horyzoncie pojawił się ów góral-rowerzysta.

To jego dziwne zachowanie dało mi do myślenia, że może pod tym tradycyjnym, oficjalnym, usankcjonowanym nurtem istnieje także drugi – półoficjalny, owiany tajemnicą, może wstydlivy, mroczny świat heklujących panów. Kiedy sobie o tym pomyślałem, postanowiłem odnaleźć prawdziwych koronczarzy, takich z krwi i kości, którzy we władaniu szydełkiem nie ustępują paniom na krok. Na nic zdał się telefon do sołtysa Koniakowa Teresy Stańko. W słuchawce usłyszałem: „Abonent czasowo wyłączony”. Uznałem więc, że skoro nie może mi pomóc władza świecka, to ratunku poszukam u władzy duchowej.

Ks. Jerzy Kiera, proboszcz parafii św. Bartłomieja, na pytanie o koronczarzy przyznał po chwili zadumy, że coś mu się tam obito o uszy o heklujących facetach, ale nie potrafił podsunąć konkretnego tropu. – Ja w życiu nie heklowałem – zastrzegł ks. Kiera. I dodał: – Igłę potrafię nawlec, by guzik przyszyć, ale heklować nie. Do tego trzeba kobiecej ręki, precyzji. Kobiety są jak te koronki – niby delikatne, a jednak nas wszystkich przeżyją. Słaba płeć, ale ma swoją siłę – wyjaśniał mi swoje zapatrywania na koronczarstwo proboszcz od św. Bartłomieja.

Kiedy tak pięknie opowiadał o sile tkwiącej w koronkach i koronczarkach zapytałem znienacka: –A może jednak kiedyś jakiś parafianin spowiadał się u księdza z heklowania?

– Co to, to nie. Nawet jakby był, to bym nie powiedział – rzekł kategorycznie duchowny. – A czy w takim razie heklowanie to grzech, czy taki męczyzna dostałby rozgrzeszenie? – dopytywałem.Ks. Kiera po chwili namysłu wyjaśnił, że robienie obrusów czy serwetek nie narusza prawa Bożego, moralnego ani żadnego innego, więc grzechem nie jest, spowiadać się z tego nie trzeba i można heklować do woli.

Sierżant Jarosław Wałach, dzielnicowy obsługujący Koniaków, pytaniem o koronczarzy też był zbity z tropu. Wyjaśnił uczciwie dlaczego.

– Jestem tu dzielnicowym od niedawna, raptem miesiąc – zameldował sierż. Wałach (mieszka w Istebnej, więc na koronkach koniakowskich nie może się znać). Zapewnił mnie, że o koronczarzy podpyta poprzednika. Na tym się skończyło.

Postanowiłem zdać się na własne siły. Tym sposobem trafiłem do Chaty na Szańcach Tadeusza Ruckiego. Gdy siedzieliśmy sobie pod kolorowym parasolem, zadałem mu owo fundamentalne pytanie: czy hekluje? Rucki uśmiechnął się trochę szelmowsko i rzekł: – Dawno, dawno temu to próbowałem. Robię wiele innych rzeczy, stolarką się zajmuję, palce mam pokaleczone – wykręcił się, dając mi do zrozumienia, bym o jego przygody z koronkami nie ciągnął go więcej za język. Po czym chętnie zaczął opowiadać, jakie piękne koronki robi jego żona. Jedną wyheklowała nawet taką, co to trafiła do Muzeum Sztuki w Indiach. A gdy już się trochę nagadał, to zdradził, że bycie mężem koronczarki to bardzo fajna sprawa, bo – jak się wyraził, ścisząc nieco głos – kobieta całą agresję wyładowuje na koronce. – I człowiek ma też więcej czasu.

Dajmy na to w telewizji jest jakiś mecz. Ja sobie oglądam, żona obok hekluje, coś tam po cichu liczy i jest spokój – zwierzył się Rucki.

Szukałem dalej. Ktoś mi szepnął, że „bankowo, na sto procent” koronki robi Józef Bieleś, naczelnik poczty w Istebnej. – Koronki? Ja, koronki? Tak, ale to wieki temu było. Ze sześć lat miałem, coś tam z mamą do Cepelii robiliśmy. Takie tam... – zapewnił, prawie że bijąc się w piersi pan Józef. I wyjaśnił mi, że ma 60. na karku, 40 lat temu oddał się służbie na poczcie, a koronki to już zamierzchłe dzieje. W centrum Koniakowa wypatrzyłem postawnego gościa. Oczom nie wierzyłem, bo pod pachą dzierzył albumy o... koronkach koniakowskich. I to aż dwa! Niestety, krótka wymiana zdań i wszystko stało się jasne. Ów mężczyzna to Józef Skurzak. Robi nie w koronkach, lecz w drewnie, jest stolarzem. Gdy spytałem o albumy, wyjaśnił, że dostała je żona w nagrodę w konkursie na koronkę koniakowską. Przejrzyj je sobie, ale na tym się skończy. Z koronkami Skurzak jest za pan brat, bo robią je żona, babcia, teściowa. – A pan dziergał? – dociskałem Skurzaka.

– Próbowałem, ale to za nerwowa sprawa. Dużo przy tym liczenia i to po cichu, by nikomu nie przeszkadzać – uśmiechnął się pod wąsem pan Józef. Koronczarka Anna Kąkol wyjawiała mi, że w Koniakowie chłopcy próbują robić koronki, mąż nawet wspierał ją, jak miała większe zamówienia (był pojętnym uczniem – tak się wyraziła), ale nie chcą się do tego przyznawać.

I kiedy już straciłem nadzieję na znalezienie prawdziwego koronczarza, ktoś – chyba Tadeusz Witos, który heklować nie potrafi, ale jak leżał w szpitalu, to na-

uczył się robić na drutach – skierował mnie do Dominika Legierskiego. Na początku myślałem, że robi mnie w konia, ale poszedłem, gdzie poradził i znalazłem koronczarza, takiego z krwi oraz kości.

Dominik nie bardzo chciał o tym swoim heklowaniu opowiadać, ale w końcu się przełamał. – Zacząłem, jak miałem 7 lat, teraz mam 17, więc już od 10 lat hekluję – wyjawiał koronczarz. Dzierga jak ma tylko wolną chwilę, zazwyczaj po szkole (chodzi do gimnazjum w Istebnej, chce zostać kucharzem) oraz w soboty, częściej zimą niż latem, bo wtedy ma więcej czasu.

– Żeby heklować, trzeba mieć pomysł, nici i szydełko. Ważna jest też cierpliwość – dorzucił. Pomysły czerpie z natury. Lubi heklować motywy roślinne: liście, kwiaty, „rybie chwosty” (stringi też potrafi). Z niciami nie ma problemu. W sklepie można dostać nić turecką, a czeski kordonek przywozi pewien Czech i sprzedaje wśród koronczarek. Dominik ma też ulubione szydełko.

– To moje hobby, można się przy nim zrelaksować, bo jak już się zacznie robić, to trzeba się maksymalnie skupić, każde oczko musi być wyliczone. Wystarczy, że jeden kwiatek zrobi się źle i już nie pasuje do reszty – opowiadał mi koronczarz.

Mama Dominika, Teresa Legierska, dorzuciła, że syn sam nauczył się heklować, podpatrywał kobiety, kombinował, a teraz często robi lepsze serwetki niż niejedna koronczarka.

– Tak, heklujący chłop to ewenement. Wszystko ma policzone, dopracowane, zrobione na sztywno, aż miło – oceniła.

Bracia z początku patrzyli na niego ze zdumieniem, więc się łamał, ale znawczyni folkloru Helena Skorupa powiedziała mu, że nigdzie nie jest napisane, iż chłop nie może heklować i Dominik przestał mieć z tego powodu dylematy. Na koniec próbuję namówić Do-

minika na zdjęcie. – O nie. To byłoby za wiele – bro-ni się, choć na odchodnym wręcza mi wizytówkę: „Koronczarstwo. Dominik Legierski” Gdyby nie ona, myślałbym, że na świecie nie ma prawdziwych koronczarzy.

Miejsce publikacji:
Dziennik Zachodni, 20 sierpnia 2010

LIBOR MICHALEC

Trapiści na Toužimsku

Klasztor Trapistów w Nowych Dworach na Toužimsku jest ukryty głęboko w lesie. Tak dobrze, że od Nežichova nie mogłem go znaleźć aż do ostatniej chwili, kiedy to z lasu wyłonił się obiekt uważany za jedną z najważniejszych współczesnych budowli sakralnych. Kiedy parkowałem, na zewnątrz wyszedł brat Mario, który miał mnie tutaj ugościć, ubrany w biały habit przepasany skórzanym pasem i nowoczesne sandały. Choć mnisi żyją w ścisłej klauzuli, ich dom jest również otwarty dla gości. Podzielono go na dwie części – w pierwszej kwaterują głównie rodziny z dziećmi (choć nie przyjeżdżają tu na klasyczne wakacje), a w drugiej mężczyźni, którzy chcą przez parę dni spróbować mniszego życia.

Brat Mario zaprowadził mnie do jadalni w tej drugiej części. Wszyscy byli już po kolacji, zjadłem więc

sam zupę, salami, ser i specjalną ostrą biomusztardę francuską, którą wyrabiają tutejsi mnisi. Do tego piwo z puszki Gambrius. Szybko rozgościłem się w przestronnym, czystym pokoju z wielkim oknem, z którego rozciągał się widok na głęboki las.

Na środku kłęcznika przed oknem leżała Biblia. O wpół do ósmej żwirową drogą dotarłem do pobliskiego kościoła na komplecie – modlitwę kończąca dzień. Pomiędzy dostojnymi mnichami w białych habitach, którzy siedzą naprzeciwko siebie w dwóch rzędach, jest również kilku młodzieńców w „ubraniach cywilnych”, którzy ciągle czekają na wyświęcenie. Możliwe, że i pomiędzy około dwudziestoma mężczyznami wokół mnie wkrótce ktoś taki się znajdzie. Według brata Jerzego wielu młodych ludzi przychodzi tu na wakacje, szukają zazwyczaj czegoś więcej, niż dóbr

materialnych. – Niestety przychodzą również ciekawscy. Czasem znajdujemy ich w miejscach, które są przeznaczone jedynie dla wspólnoty. Uwierają się jak na Rivierze i nie mają żadnego szacunku – skarży się.

Przed snem nastawiłem budzik na 3:00, ponieważ jest to czas pierwszej modlitwy. Bałem się, że nie trafię po ciemku do kościoła, ale park jest porządnie oświetlony, śpiewający mnisi przedzierają się w półśnie do mojej świadomości. W przeciwieństwie do nich, przespałem cały czas do śniadania, które zgodnie ze zwyczajem trapistów spożywa się tutaj w grupie. Kiedy później myjemy wspólnie naczynia, uświadamiam sobie, że właściwie od przyjazdu oprócz modlitwy nie słyszałem od nikogo ani słowa, sam również nie wypowiedziałem ani jednego. Nawet gdy brat Jerzy oprowadza mnie po klasztorze, mówi tylko on i to tylko z konieczności. Rozmawiać zaczynamy dopiero po dotarciu do pomieszczenia specjalnie do tego przeznaczonego – rozmównicy. – Właściwie to przez większość czasu ze sobą nie rozmawiamy – wyjaśnia brat Jerzy. – Nie jest to jednak milczenie dla samego milczenia, służy ono temu, aby skupiać się na rzeczach duchowych. Ma dodatkowo zapobiec wypowiedzeniu słów, które są zbyteczne lub mogą kogoś zranić. Prawdopodobnie dzięki temu milczeniu jego słowa

rozbrzmiewają po pomieszczeniu z niesamowitą siłą.

Dom dla gości, ale przede wszystkim sam klasztor i kościół są doskonałe nie tylko dzięki akustyce, ale głównie dzięki nowoczesnej minimalistycznej architekturze. Światowej sławy architekta Johna Pawssona zainspirowały podobno francuskie kościoły romańskie. – Prostota, a nawet surowość jego architektury bardzo pasuje do naszego stylu życia – mówi brat Jerzy.

O tej porze moi koledzy ze śniadania przebrali się już w drelichy i przyłączyli do pracy w klasztorze. Tutejsi mnisi sami zarabiają na swój byt. Oprócz tego, że mają swoją hodowlę owiec, przygotowują drzewo na zimę i zapewniają sobie inne prace, takie jak już wspomniany wyrób musztardy, którą można kupić na przykład w Makro. Sprzedają również bio-kosmetyki: – Przygotowujemy obecnie dwa nowe produkty kosmetyczne – biomydło w płynie i żel pod prysznic – mówi brat Jerzy. Ponadto pracujemy nad pięcioma nowymi rodzajami musztardy, które na jesieni chcielibyśmy wprowadzić na rynek – dodaje. – Są droższe, ale to dlatego, że mówimy tu o produkcji ręcznej, dlatego też staramy się zapewnić jak najlepszą jakość – wyjaśnia. Nie mam powodu, aby w to nie uwierzyć. Po półdniowej kuracji ciszą czuję się jak nowonarodzony.

Miejsce publikacji:

Mladá Fronta Dnes, wydanie z dnia: 6.8.2010

BEATA BIELECKA

Trzy cuda nad Odrą. Granica połączyła dwa światy

- Ludzie są jak kamienie. Jak je wrzucisz do jednego bębna i będziesz dostatecznie długo tym bębniem obracać, to powycierają im się kanty i kamienie zrobiają się obłe - mówi dr Krzysztof Wojciechowski, dyrektor Collegium Polonicum w Słubicach, o 20 latach polsko-niemieckiego sąsiedztwa. Latach ocierania się o siebie, uczenia się siebie i osuwania demonów z przeszłości.

27 lutego 1991 Wojciechowski wysiadł we Frankfurcie z pociągu relacji Warszawa - Berlin, bo w biurze założycielskim Uniwersytetu Europejskiego Viadrina miał rozmowę kwalifikacyjną. - Dworzec wyglądał jak żywcem wyjęty z realnego socjalizmu, z freskami na ścianach, przedstawiającymi radosnych robotników. Miasto w najgorszym komunistycznym wydaniu. Wszędzie wielka płyta - wspomina. Gdy po spotkaniu

na Viadrinie (wkrótce zaczął tam pracę, a potem został szefem Collegium Polonicum) poszedł do Słubic, było jeszcze gorzej. Sypiące się fasady, potrzaskane chodniki, bar piwny przy moście, dwóch pijaczków leżących na drodze...

- Niemcy mówili o szoku kulturowym, widząc to wszystko - przypomina sobie dziesiątki rozmów na ten temat. - Różnica cywilizacyjna była ogromna, bo Frankfurt błyskawicznie po zjednoczeniu się wypucował, dostał nowe fasady, budowle, a Słubice potrzebowały paru lat, żeby się rozpędzić, zebrać pieniądze z bazarów i połatać chodniki oraz wyremontować domy. My nie mieliśmy bogatej zachodniej Polski, która dawałaby nowej, odzyskanej Polsce miliardowe sumy. Dlatego to, co w czasie tych 20 lat się dokonało, określam jako jeden z trzech cudów nad Odrą.

Dwa pozostałe to zredukowanie obopólnej niechęci do poziomu nieistotnego i cud natury antropologicznej. Idąc dziś ulicą, nie można już rozpoznać, kto jest Niemcem, kto Polakiem.

Cud pierwszy: był bar, jest uniwersytet

Słubice. Wiosna 1990. Na łąkach przy Folwarcznej od kilku miesięcy działało targowisko. Powstało krótko po tym, jak upadł berliński mur, Niemcy się zjednoczyli, a granicę na Odrze można było przekraczać bez przeszkód. Targowisko po deszczu tonęło w błocie, a w słoneczne dni unosiły się nad nim tumany kurzu. Ale Niemcom to nie przeszkadzało, bo w Polsce wszystko było tańsze. Dla wielu nie miało też znaczenia, że nierzadko w pieszej kolejce do przejścia granicznego czekali godzinę, a w samochodowej nawet pięć. Za turystycznymi stolikami, które udawały sklepowe lady, stali Bułgarzy i Rumuni, obok nich Polacy. Z całego kraju, bo na przygranicznych bazarach rozdziły się fortuny. Stoliki pełne towaru zalewały nawet centrum. Miasto było wtedy jednym wielkim targowiskiem. Niemcy przy okazji zakupów szli też do fryzjera, szewca, dentysty. Tak jest zresztą do dziś, tyle że bazar wygląda teraz dużo lepiej. Słubiczanie początkowo tylko zerkali za Odrę, bo żeby przekroczyć granicę, nadal potrzebowali wiz. Zmieniło się to dopiero po wizycie w mieście, 8 listopada 1990, premiera Tadeusza Mazowieckiego i kanclerza Niemiec Helmuta Kohla. Rozmowy dotyczyły traktatu, który ostatecznie miał uregulować sprawę granic na Odrze i Nysie.

Ten dzień dokładnie pamięta Tomasz Pilarski, absolwent Viadriny, szef Słubickiego Miejskiego

Ośrodka Kultury. Miał wtedy 14 lat. - Dla mnie było to duchowe uniesienie związane z wcześniejszymi przemyśleniami nastolatka, który stoi na wale i zastanawia się bardzo naiwnie, kto i dlaczego zabrania mu przekroczyć granicę i zobaczyć, jacy ludzie żyją za rzeką. Nagle podczas tego spotkania poczułem, że granice przestają istnieć - wspomina. W tym momencie nie przyszło mu nawet do głowy, że kilka lat później będzie studiował prawo na frankfurckiej Viadrinie, za rzeką, która długo dzieliła. Viadrinę otwarto w lipcu 1991. Jedną trzecią miejsc zarezerwowano dla Polaków, w imię dobrosąsiedzkich kontaktów. Siedem lat później, w tym samym miejscu, gdzie stał słynny bar piwny przy Odrze, wyrosło Collegium Polonicum sfinansowane w dużej mierze przez Unię Europejską (jest placówką naukowo-dydaktyczną Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu). Bruksela dała też pieniądze na miasteczko akademickie, jedno z najnowocześniejszych w Europie. - Słubice niesamowicie zmieniły się od czasu otwarcia granicy - mówi dr Wojciechowski. Niedawno przejeżdżał ze swoją mamą samochodem przez miasto. - O, jaki ładny budynek. Co to jest? - zapytała. Nie mogła uwierzyć, gdy usłyszała, że to noclegownia dla bezdomnych i jadłodajnia dla ubogich.

Cud drugi: koniec wrogości

Po otwarciu granicy z Niemcami słownik języka polskiego wzbogacił się o nowy wyraz „juma”, a „trolle”, „mrówki”, „wędkarze” i „Trójkąt Bermudzki” zyskały inne znaczenie. Jumaczami byli przeważnie młodzi chłopcy, którzy łowili w niemieckich sklepach. Mrówki

przenosiły przez granicę papierosy. Trollami byli Rumuni i Bułgarzy pomagający swoim rodakom dostać się do Niemiec. To też były złote czasy dla niektórych taksówkarzy. Za transport na zieloną granicę kasowali 300 marek. Miejscem spotkań był plac między Mickiewicza a Kościuszki, nazywany Trójkątem Bermudzkim. Bywało tam gorąco, bo rozboje i porachunki między gangami, które zjechały wtedy na pogranicze z całej Polski, nie należały do rzadkości. Dziś jest tam plac Frankfurcki z gustownie urządzonym parkiem, na który pieniądze dała Unia.

W 1993 roku frankfurcka straż graniczna szacowała, że co miesiąc około trzy tysiące cudzoziemców próbuje nielegalnie dostać się do Niemiec. Trudno więc było się dziwić, że pięć lat po otwarciu granicy sondaże mówiły, że 80 procent Niemców jest przeciwnych rozszerzeniu Unii na Wschód. Lata współpracy i poznawania się zrobiły jednak swoje. Gdy w 2004 roku przystępowaliśmy do Unii, 64 procent Niemców przyjęło to z dużą aprobatą. To się czuło, szczególnie porównując atmosferę, jaka panowała na słubickim moście 1 maja 2004, gdy frankfurtczycy lali słubiczonom szampana do kieliszków, i tę z roku 1991. Wtedy polskie autokary przejeżdżające graniczny most obrzucano kamieniami, a nasi studenci z Viadriny na własnej skórze odczuli niechęć sfrustrowanych energicznych bezrobotnych czy młodzieży sympatyzującej z neofaszystowskimi partiami.

Frankfurt musiał potem długo udowadniać, że jest przyjazny Polakom. Mówiło się nawet, że pierwsze litery z tablic rejestracyjnych na samochodach frankfurtczyków (FF) można odczytać jako skrót od słów

Freundliches Frankfurt, czyli przyjazny Frankfurt. Nad poprawą tego wizerunku pracowali też politycy. Rok po naszym przystąpieniu do Unii berliński dziennik „Der Tagesspiegel” pisał: „przyjazne nastawienie do Polski należy wśród elit do dobrego tonu”. Ale przyznał też, że dla większości Niemców sąsiad na wschodzie jest terenem dla idealistów.

Cud trzeci: mało się różnimy

Takich idealistów było sporo, szczególnie wśród młodych ludzi. W 1998 roku we Frankfurcie zamieszkał pochodzący z Bonn artysta Michael Kurzwelly. Wkrótce wymyślił Słubfurt – miasto, którego nie ma na żadnej mapie, ale istnieje w głowach ponad 600 słubfurtczyków. Mają nawet własny parlament, który zabiera głos w sprawach ważnych dla mieszkańców po obu stronach Odry. W tej grupie jest Dorota Rutka, nauczycielka z ogólniaka w Słubicach.

- Dla mnie granica nigdy nie była przeszkodą, nawet w czasach, gdy istniała kontrola – stwierdza. - Nigdy też nie miałam obaw, idąc do Frankfurtu. Nie zastanawiałam się nad tym, czy koncert późnie się skończy, czy będę wracała do domu sama czy z kimś. Pytanie brzmiało tylko: Czy warto tam iść? – dodaje. Za Odrą ma wielu znajomych. Z niektórymi co środę uczy się niemieckiego. Poznali się kilka lat temu na kursie językowym. Te kontakty dawno wykroczyły już poza naukę języka. - Odwiedzamy się przy różnych okazjach, pamiętamy o swoich urodzinach, jeździmy razem na wycieczki – opowiada Dorota.

Takie kontakty są codziennością dla studentów Collegium Polonicum i Viadriny. Mieszkając razem

w akademikach, widzą, że tak naprawdę niewiele ich różni, mimo że na początku patrzyli na siebie bykiem. Na Viadrinie studiował między innymi berlińczyk Felix Ackermann. Wybrał tę uczelnię właśnie z powodu sąsiedztwa z Polską. Już jako nastolatek w ramach wymiany szkolnej spędził rok we Wronkach. Potem pojechał do Sankt Petersburga i razem z innymi wolontariuszami ze stowarzyszenia „Znak pokuty” opiekował się ofiarami gułagów. We Frankfurcie zainteresowała go historia miasta i sąsiednich Słubic. Z przyjaciółmi założyli Instytut Historii Stosowanej. Uważali, że trudno zrozumieć przeszłość bez odwracania się za siebie. Felix opowiada, że decyzja o powołaniu instytutu była też odpowiedzią na kurtuazyjne gesty polityków, którzy mówili o dobrym sąsiedztwie, ale niewiele robili.

Potrzebę poznania czuli też starsi. Gdy w 2000 roku Henryk Rączkowski wspólnie z Willim Przybylskim zakładali Polsko-Niemiecką Akademię Seniorów, sceptyków nie brakowało. Tworzenie uczelni dla starszych ludzi, obciążonych wspomnieniami wojny, dramataми wysiedleń, nieznamościami języka sąsiada, było wyzwaniem. Pamięta, że na początku Niemcy siadali po jednej stronie sali, Polacy po drugiej. Dziś już tego nie ma.

Grzechy zaniechania: niewykorzystane szanse

Tramwaj jeżdżący z Frankfurtu do Słubic, puste mieszkania, które Niemcy zburzyli, choć w Słubicach ich brakuje, język polski w nielicznych szkołach nie-

mieckich, brak przez wiele lat porozumienia w sprawach gospodarczych... To grzechy zaniechania po obu stronach granicy. - Gdyby Niemcy inaczej patrzyli na Polaków, mogliby tu stworzyć drugie El Paso, taki sam kwitnący region, jak ten, gdzie wykorzystano amerykańską technologię i meksykańską siłę roboczą – uważa dr Wojciechowski.

Ale nad Odrą długo woli współpracy gospodarczej nie było. Do dziś mieszkańcy pamiętają tzw. wojnę bułeczkową. Wybuchła w 1995 roku po tym, jak Marta Bruns ze Słubic, która dzięki małżeństwu z Niemcem została obywatelką RFN, otworzyła we Frankfurcie piekarnię. W Słubicach bułka kosztowała wtedy 10 groszy, a po drugiej stronie Odry – 42 grosze. Trzy dni po otwarciu sklepu na drzwiach piekarni pojawił się napis: Schmugelbrot aus Polen – nein, danke (szmuglowane pieczywo z Polski – nie, dziękuję). Na łamach miejscowej gazety Juergen Watzlaw, ówczesny szef miejscowej Izby Rzemieślniczej, grzmiał: „fałszywie rozumiana przyjaźń doprowadza do podejmowania przez frankfurcki urząd miejski decyzji, które kłócą się z interesami niemieckich przedsiębiorców”. W imię tych interesów do maja tego roku obowiązywał zakaz pracy Polaków w Niemczech.

Zdaniem dra Wojciechowskiego Polacy bardziej niż Niemcy umieli skorzystać z bliskości granicy. - Obserwuję w Słubicach ogromny postęp cywilizacyjny – podkreśla. Granica dała ludziom przede wszystkim pracę. W mieście jest blisko 100 zakładów fryzjerskich, około 60 mniejszych i większych knajpek, szturm na warsztaty przeżywają mechanicy samochodowi i rzemieślnicy. Dzięki sąsiadom zza Odry

działają dwa bazary, mimo że w mieście powstały nowoczesne sklepy i galeria handlowa. Bo Niemcy lubią przy okazji zakupów usiąść pod chmurką i zjeść polskie pierogi albo schabowego z kapustą... Jak Słubice będą wyglądały za 20 lat? – Dziesięć procent mieszkańców Frankfurtu to będą Polacy, w szko-

łach niemieckich jedną trzecią będą stanowiły dzieci polskie, w wielu instytucjach po obu stronach rzeki będzie się mówiło w obu językach i będziemy mieli ładne przygraniczne miasto, takie jakich wiele między Niemcami a Holandią po 400 latach sąsiedztwa – przewiduje dr Wojciechowski.

Miejsce publikacji:

28 maja 2011 Gazeta Lubuska: <http://www.gazetalubuska.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20110528/POWIAT/199643525>

JAROSLAV ŠTĚPANÍK

To dziwne słowo šalina

W Brnie od pradawna tramwaj określa się słowem šalina. Dla przyjezdnych ten zagadkowy wyraz jest trwałym elementem brnieńskiego slangu, tzw. hantecu lub inaczej - hantýrki. Zanim poznałem na jego temat zdanie ludzi kompetentnych, bezskutecznie szukałem jego źródeł. Brnieński slang powstawał przez połączenie języka czeskiego z niemieckim, przy czym oba języki świetnie zaskoczyły. Przyczyna stworzenia hantýrki była w gruncie rzeczy pragmatyczna i godna pochwały. W mieście, gdzie część obywateli mówiła po czesku, a część po niemiecku, trzeba było przecieżyć się jakoś porozumieć. Czesi, przyjeżdżający ze wsi za pracą, pokonywali barierę językową wtrącaniem słówek i powiedzeń niemieckich do języka ojczystego. Powstawały zatem nowe twory, zniekształcenia i zdania typu: hauzmajstrová klepe tépich na ganku czyli dozorczyńi czyści dywan na korytarzu (dozorczyńi -

niem. Hausmeisterin - klepie dywan - niem. Teppich - na korytarzu - niem. Gang, przyp. tłum.).

Otworzyłem słownik niemiecko-czeski i rzuciłem się do szukania kandydatów, słów które mogły stać za powstaniem šaliny. Przymiotnik schal, jak odkryłem, znaczy zwietrzały, jałowy, niesmaczny, nudny. To więc nie to. Kiedy z Kényku (Královo pole) wyjechały plecháče (tramwaje), ludziom augle (oczy) wyłażyły z kisny (orbit). Tramwaje Královopolskiej fabryki z początku lat pięćdziesiątych to było coś! Ostatnie dwuosiove o bardzo nowoczesnej koncepcji, to chyba pierwsze u nas maszyny ze zdalnym zamykaniem drzwi. Wraz z nimi skończyła się era pięknego niebezpiecznego zarazem wskakiwania i wyskakiwania podczas jazdy i ludzkich winogron zwisających z platform wagonów, które jechały z haklu (pracy, przyp. tłum.) na prygl (brnieńska tama). Každé borec

kóme, že hlášky v šalině só festmakačka na bednu, a luftováním s se tak neproluftuješ (Každy chłop wie, že od gadania w tramwaju może boleć głowa, a latając z Čedokiem daleko nie zalecisz).

Kolejnym bliskim słowem był der Schälhengst, to znaczy ogier hodowlany. Ten kierunek sobie odpuszciliśmy od razu, chociaż nie wiadomo, co może się dziać podczas nocnych jazd. Der Schalk – żartowniś, figlarz mógłby się wiązać z sytuacjami, kiedy coś powinno jechać, a nie jedzie. Chyba w ogóle najbliższy słowu šalina wydał mi się niemiecki czasownik schallen – brzmieć, dźwięczeć. – Piękny był ten dzień, kiedy to doprowadzono do nas prąd elektryczny, a na ulice wyjechały pierwsze błyszczące wagony miejskiego przedsiębiorstwa elektrycznego. Brzęk świątecznie przyozdobionych tramwajów pięknie brzmiał w uszach zgromadzonych tłumów, w telewizyjnej relacji słyhać było tylko dzwony kościołów, wszyscy wiatowali, jakby tramwajem przyjechał sam cesarz pan.

Było to jednak inaczej, mianowicie tak: lud sobie elektrische Linie skrócił na słowo šalina. Najpewniej w roku 1900, kiedy to Gessellschaft der Brünnner elektrischen Strassenbahnen wypuściła na szyny šaliny. Brno od tego czasu jest jedynym miastem na świecie, gdzie istnieją šaliny i šalinkarty czyli długoterminowe bilety tramwajowe.

Jeszcze przed przewrotem w roku 1989 przyjeżdża Brniak do Pragi, na wystawie sklepowej na Przykopcach widzi nalepki eurocards, visacards itd. Wchodzi do sklepu.

Miejsce publikacji:

Brněňský deník.cz, opublikowano 11.2.2011; <http://brnensky.denik.cz/publicistika/to-zvlastni-slovo-salina20110211.html>

- Ma pan eurokartę? – pyta piękna blondynka.

- Mam šalinkartę.

Panienska jest przez chwilę zdeorientowana, ale kiedy klient wyciąga i pokazuje jej kartę, pogardliwie nadyma wargi.

- Tak to frčí v Práglu, samá skrčka - (taka teraz moda w Pradze, same oszustwa -), oznajmiał cwaniak w šatlu (mieście) na sejšn (spotkaniu) przy kryglu (piwku). - nekómó, sífónu říkajó, sodofkoflašku ale kámo nezmerčíš ani za tvrdý lupeny. (Nie znają šalinkarty, na syfon mówią sodofka, ale butelki na wodę sodową tam nie uświadczysz nawet za duże pieniądze).

„Brnieński hantec” żyje i rozwija się dziś przede wszystkim dzięki grupie pielęgnujących go fanów. Tak naprawdę jest już jednak czym innym, niż ten, który wykrylizował się wtedy, gdy powstawało słowo šalina. Wtedy był koniecznością, narodził się z potrzeby porozumiewania się, dziś jest już raczej formą miejskiego folkloru językowego pielęgnowanego przez entuzjastów. W dzisiejszym Brnie już bardzo rzadko spotkamy się również z takimi wcześniej szeroko rozpowszechnionymi wyrażeniami jak: „voni to vijó, chcó, musijó, majó” (oni to wiedzą, chcą, muszą, mają, w brneńskim dialekcie – przyp.tłum.). Bardziej widoczne jest dzisiaj przysłowiowe echt, brneński akcent. Poza tym dzisiaj chyba częściej mówi się tu literackim czeskim, niż w wielu innych miastach. To dziwne i piękne słowo šalina przetrwało jednak próbę czasu i innowacje w hantecu typu sputnik (bar w Brnie), brus (lodowisko), šmirgl (tramwaj) i żyje dalej.

Gospodarka lokalna

LIBOR MICHALEC

Biorolnicy z Valča

Gospodarkę najłatwiej opisywać w kategoriach makroekonomicznych. Czytelnik bez trudu znajdzie informacje o zadłużeniu państwa, deficycie gospodarczym, skali bezrobocia i poziomie PKB. Także dane opisujące lokalną ekonomię nie są już dziś trudne do ustalenia. Ale co się kryje za tymi liczbami: jaki wpływ mają decyzje ekonomiczne podejmowane na szczeblu państwowym na życie lokalnych społeczności? Jaki wpływ ma światowy kryzys ekonomiczny na życie jednostek? Jaki wpływ ma czysta energia na lokalny rozwój gospodarczy? Jak zmienia się lokalna przed-

siębiorczość? Czy rolnictwo jest nadal opłacalne? Co oferują pracownikom i kontrahentom przekształcające się przedsiębiorstwa?

W tej kategorii nagrodziliśmy teksty, które odpowiadają na te pytania. Ale nie tylko. Wyróżniliśmy też materiały opowiadające o najciekawszych przedsięwzięciach biznesowych, inwestycjach i ich wpływie na lokalną społeczność, a także te teksty, które nie uciekają od problemu kosztów pośrednich i podejmują problemy gospodarcze zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju.

Biorolnicy z gminy Valeč żyją cały rok w jurcie, pieką chleb, zbierają miód i hodują owce, z którymi w tym roku przeszli w pochodzie przez cały region. Organizują też międzynarodowe warsztaty i edukacyjne seminaria.

Przyjechałem trochę wcześniej, więc Vojtěch Veselý przywitał mnie w swoim biogospodarstwie pośród roju pszczół w siatce pszczelarskiej. Nadeszła bowiem chwila zlewania miodu, a przyroda nie będzie czekać.

- Na tej wysokości geograficznej, w tym regionie, rok na miód był raczej słaby - mówi biorolnik Vojtěch.
- Śnieg leżał długo, a wiosną ciągle padało, także jak mi kwitły jabłonie, pszczoły były jak zamroczone - opowiada. - Ale przez to ludzie teraz za miodem biegną. Dostajemy finansowy bonus do pracy, którą wykonujemy.

Dopiero gdy zleje prawie trzysta litrów miodu z dziesięciu uli, możemy przejść do jurty. Z zewnątrz wygląda jak trochę większy, prowizoryczny namiot, ale w środku to przytulnie urządzone domostwo przystosowane do całorocznego mieszkania z oknami, piecem na drewno, sypialnią i biurkiem z notebookiem.

Vojtěch Veselý ze swoją przyjaciółką i współniczką w gospodarstwie Lenką Navrátilovą budowali jurte pod koniec listopada zeszłego roku. Dwa dni później zaczął padać śnieg. - Spędziliśmy tu w przyjemnym cieple całą zimę - mówi Lenka Navrátilová. Nie było im zimno, bo jurta jest dobrze izolowana. Czymże by innym, niż prawdziwą owczą wełną.

A jak się znaleźli w tej opuszczonej krainie u stóp Gór Doupowskich? - Tato w sześćdziesiątych latach kupił tutaj w gminie Valeč domek na wsi, abym miał

gdzie jeździć z kolegami z klasy na imprezy - wspomina Vojtěch Veselý. - Działka została w rodzinie, później do niej jeszcze doszedł ten sad, więc gdy trzy lata temu zdecydowałem się w Pradze, gdzie pójdę gospodarzyć, to był najprostszy wybór. Moim marzeniem było mieć gospodarstwo, które produkuje coś, co będzie moim głównym źródłem utrzymania. Moje gospodarstwo ma teraz kilka hektarów.

- Miałam bardzo podobne marzenie, dlatego kiedy się poznaliśmy, zaczęliśmy się tym zajmować oboje - dodaje Lenka Navrátilová. - Wcześniej pracowałam w jednej organizacji pozarządowej w Niemczech, gdzie organizowaliśmy przeróżne zajęcia edukacyjne o rolnictwie ekologicznym w rejonie Karlowych Warów i w Niemczech. Teraz połączyliśmy więc pracę rolniczą z działaniem oświatowym.

W biogospodarstwie w Valču oprócz miodu, wyrabia się również moszcz jabłkowy i gruszkowy, owce hoduje się nie tylko na mięso, ale również ze względu na wełnę, którą gospodarze strzygą ręcznie, a później poddają dalszej obróbce. Suszą śliwki i jabłka, gotują kompoty i powidła, przygotowują również palinki.

Ponadto odbywają się u nich warsztaty edukacyjne, przyjeżdżają wolontariusze, prowadzone są programy pedagogiczne dla szkół i obozy letnie.

- Mamy warsztaty wełniarskie i pracownie, gdzie używamy kołowrotka i chesarki. W tym roku po raz

pierwszy odbył się u nas czesko-niemiecki obóz dla młodzieży w wieku od 16 do 20 lat, którego idea była ochrona przyrody i zrównoważony styl życia - mówi Lenka Navrátilová, która w tym celu założyła stowarzyszenie obywatelskie Area viva. - Pokazujemy obrabianie wełny, pszczelarstwo, barwienie naturalnymi materiałami, pieczemy chleb - wymienia różne aktywności.

Piec na chleb zbudowali razem z chłopcami z ośrodka wychowawczego w Žluticach, który był dla nich rzadką szansą na kontakt z przyrodą i sensowną pracą. - Było to czternaście wyjazdów, całość trwała około pół roku, a mniej więcej po dziesiątym spotkaniu z nami i z otoczeniem, nagle zaczęli się zżywać i już się nie mogli doczekać, aż ten piec będzie gotowy - wspomina. Kulminacją współpracy był pochód z owcami poprzez cały region. Nazywał się Trunpa, miał na celu wskazanie problemów ekologicznych i regionalnych, ale przyjemną niespodzianką było właśnie to, jak chłopcy z „poprawczaka” otworzyli się wieczorem przy ognisku.

- A czy my sami żyjemy ekologicznie? - Vojtěch Veselý rozgląda się po stole kuchennym - Miód jest nasz, marmolada od sąsiadów, jogurt z sąsiedniego gospodarstwa. Staramy się wyhodować co się da, nie używamy chemii.

Miejsce publikacji:

Mladá fronta DNES, wydanie z dnia: 14. 08. 2010, rubryka: Kraj Karlovarský, s. 3

BARTŁOMEJ KURAŚ

Studio nie z tego świata

Pod Krakowem powstała pierwsza po wojnie polska niepaństwowa wytwórnia filmowa. Właśnie ruszyła tu produkcja amerykańskiego obrazu. Do stworzenia nowoczesnego studia dołożył się budżet Unii Europejskiej

Te budynki widział chyba każdy, kto w ostatnich latach podróżował autostradą A-4 z Krakowa w kierunku Katowic. Trudno przeoczyć 13 kopuł - kojarzących się z kosmicznym miasteczkiem - w pobliżu Alwerni.

Jednak ciągle mało kto wie, że od niedawna mieści się tu jedno z najnowocześniejszych europejskich studiów filmowych.

- Przyznaję, że do tej pory nasza firma zbyt nie chwaliła się tym, co tutaj robi, bo ciągle jeszcze organizowaliśmy się. Teraz pracujemy już pełną parą, a filmowcy, nie tylko z Polski, korzystają tu z najnowo-

czesniejszych technologii - tłumaczy Robert Kalinowski, zajmujący się promocją w Alvernia Studios.

- Trudno w naszym regionie o lepszy przykład za inwestowania pieniędzy w rozwój innowacyjnej gospodarki. Dzięki pasji przedsiębiorcy i unijnej dotacji udało się stworzyć produkt z bardzo nowoczesnymi rozwiązaniami w branży audiowizualnej - przyznaje Barbara Malczyk z Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego, która pomaga przedsiębiorcom sięgać po unijne dotacje.

Pochwały z Hollywood

Alvernia Studios stworzył Stanisław Tyczyński, założyciel i były właściciel radia RMF FM. Zbudowane na początku wieku kopulaste budowle miały być nową

siedzibą stacji po tym, gdy władze Krakowa próbowały w tamtym czasie pozbyć się radia z dawnych austriackich fortyfikacji pod kopcem Kościuszki. Konflikt udało się jednak zażegnać, RMF FM nadal mogło nadawać spod kopca, a kosmiczne miasteczko w połowie drogi z Krakowa do Katowic stało puste.

Pod koniec 2006 r. Tyczyński sprzedał swoją rozgłosnię niemieckiemu koncernowi medialnemu, kopuły pozostawiając dla siebie. Bez rozgłosu zainwestował w nie pieniądze ze sprzedaży radia.

Jego nowa firma Alvernia Studios w 2008 r. złożyła wniosek za pośrednictwem firmy doradczej o dotację w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka. Trzy transze dotacji już dostała – dwie w 2009 r., jedną w 2010 r. Teraz czeka na ostatni przelew. Uznano, że projekt wspiera innowacyjne przedsięwzięcie, w którym olbrzymią rolę odgrywają nowoczesne technologie.

Pełny tytuł projektu brzmi: „Uruchomienie studia i planu filmowego poprzez wdrożenie innowacyjnej technologii produkcji i przetwarzania obrazu filmowego”. Wart jest 17,9 mln zł. Dotacja wyniosła 8,8 mln zł, z czego Unia wyłożyła 85 proc., czyli blisko 7,5 mln zł, a polski budżet dodał ok. 1,3 mln zł.

Firma zdecydowała się na sięgnięcie po dotację, żeby przyspieszyć zakończenie inwestycji. Dzięki temu mogła pozwolić sobie na szybkie wprowadzenie na rynek nowej, kompleksowej usługi realizacji zdjęć filmowych w najwyższym możliwym obecnie standardzie, zwanym 4K (rozdzielczość obrazu cztery razy większa niż full HD). Realizacja projektu ułatwia zaistnienie Alvernia Studios na światowym rynku produkcji filmowej.

- Dotacja to tylko niewielka część kwoty, jaką zainwestowano w wytwórnię filmową, pierwszą niepaństwową w powojennej historii Polski. Stworzyliśmy miejsce do pracy dla filmowców, jakiego nie ma nigdzie indziej w Polsce, a i w całej Europie trudno dzisiaj znaleźć tak nowoczesne studio – zachwala Kalinowski.

Z unijnej dotacji sfinansowano wyposażenie profesjonalnego planu przy tak zwanym blue screenie, czyli wielkim – sięgającym pod sufit największej kopuły o powierzchni 2000 m kw. – sferycznym, błękitnym ekranie. Tak dużego i dającego tak wielkie możliwości ekranu nie ma w Europie. Grających na jego tle aktorów można za pomocą komputera umieścić w dowolnej scenerii. Do tego w trójwymiarowej technologii i w największej możliwej rozdzielczości. Specjalny zestaw świateł zsynchronizowanych z kamerami pozwala stworzyć iluzję naturalnego oświetlenia z każdej szerokości geograficznej. 24 kamery pracują w tzw. systemie Motion Capture, takim, jakiego używano do uzyskania efektów specjalnych m.in. we „Władcy Pierścieni”, gdzie animowanym postaciom nadano naturalne ruchy człowieka. Unia dołożyła też do laboratorium taśmy filmowej – otwartym w maju tuż przy kopułach – w którym wywołuje się negatywy filmowe.

„The Hollywood Reporter” – uznany magazyn poświęcony przemysłowi filmowemu – materiał o „najbardziej obiecujących studiach filmowych na świecie”, przygotowany przed tegorocznym festiwałem w Cannes, stworzył właśnie prezentacją Alvernia Studios.

Jak w filmie SF

Nie tylko z zewnątrz Alvernia Studios przypomina twór rodem z kosmosu. Półkoliste wnętrza są jak

żywcem wyjęte z filmów science fiction. Kręte schody z metalowymi balustradami w kosmiczne wzory; rozsowane symetryczne drzwi z czytnikami linii papilarnych, przypominające wrota ze statku Lorda Vadera; restauracja jak z tej słynnej sceny „Obcego”, w której w knajpie gdzieś na krańcu wszechświata przesiadują kosmiczni rozbitkowie. Kogoś tu poniosła fantazja, i to na całego. I jeszcze wszechobecny wizerunek smoka – oficjalne logo wytwórni. Choć ten element da się akurat łatwo wytłumaczyć. Smok to ulubiony symbol Stanisława Tyczyńskiego.

Nikt z kilkudziesięciu pracujących w kopułach osób – w tym 19 zatrudnionych dzięki unijnej dotacji – nie czuje się tu zagubiony. Poruszają się bezbłędnie pomiędzy 13 kopułami połączonymi półkolistymi – a jakże – przeszklonymi korytarzami, mimo braku drogowskazów i tabliczek na ścianach. Wyjątek to napisy informujące, gdzie znajduje się damska toaleta, a gdzie męska, które powieszono pewnie z myślą o zdezorientowanych gościach. Osobie z zewnątrz, która trafiła tu po raz pierwszy, trudno jest połączyć się w tym kosmicznym labiryncie.

Sprostac każdemu filmowemu zadaniu

W centralnej kopule swój gabinet ma Stanisław Tyczyński. Obok w pokoju – a raczej pomieszczeniu przypominającym komnatę mistrza Yody – obrabia się filmy.

- Pracuję nad „Ślubami panińskimi” w reżyserii Filipa Bajona. To film rozgrywany w scenerii historycznej, więc czyszcze sceny kręcone w naturalnych plenerach ze wszystkich zdobyczy cywilizacji, czyli na przykład

usuwam komputerowo z krajobrazu słupy elektryczne – tłumaczy Witold Wnuk, specjalista od komputerowych efektów, wpatrując się w ekran monitora.

W innej kopule mieści się studio dźwiękowe w formie sali kinowej. Dzięki takiemu rozwiązaniu można tak zgrać dźwięk, by mieć pewność, że będzie jak najlepiej słyszalny przez widzów w prawdziwym kinie. Alvernia – jako pierwsza w Polsce – otrzymała certyfikat Dolby Premier Studio, świadczący o najlepszej jakości usług.

Muzykę do filmów nagrywa się w jeszcze innej kopule – profesjonalnym studiu nagrań. Zmieści się tu 120-osobowa orkiestra. Specjalne ściany – z obrotowymi wałkami, na których z dwóch stron umieszczono różnego rodzaju wykładziny – nadają dźwiękom odpowiednią barwę, w zależności od rodzaju wykonywanej muzyki: symfonii, jazzu czy rocka. U sufitu wisi tzw. gwiazda śmierci – nazwa pochodzi od kształtu urządzenia przypominającego stację kosmiczną dowodzoną przez Lorda Vadera. Jej składane ramiona też zmieniają geometrię dźwięków w pomieszczeniu. Za projekt akustyczny studia odpowiada Anglik Andy Munro, uważany w swej branży za jednego z najlepszych na świecie.

- Mamy tu taki sprzęt, jakiego nie powstydzilyby się najlepsze studia w Wielkiej Brytanii czy Stanach Zjednoczonych – objaśnia Piotr Witkowski, szef studia nagrań. Wie, co mówi, bo wcześniej pracował jako dźwiękowiec m.in. w Los Angeles, Nowym Jorku i Chicago.

- Jesteśmy gotowi sprostać każdemu filmowemu zadaniu, z którym trafią do nas twórcy krajowi i zagraniczni – zapewnia Kalinowski.

A gdyby tak zabrakło prądu? – To nie nasze zmartwienie. Jakby co, to w jednej z kopuł mamy małą prywatną elektrownię z potężnymi agregatami – Robert Kalinowski rozwiewa obawy o energetyczny kryzys w wytwórni.

Wampiryzycy i lokomotywa

Firma nie nastawia się tylko na produkcje filmowe typu science fiction, co mogłaby sugerować architektura tego miejsca. Na początku sierpnia w Stanach Zjednoczonych padł pierwszy klaps na planie komedii o nowojorskich wampiryzycach zatytułowanej „Vamps” z udziałem gwiazd Hollywoodu: Sigourney Weaver, Alici Silverstone i Krysten Ritter. Alvernia jest inwestorem i koproducentem tego filmu oraz odpowiada za całość jego efektów specjalnych. To największa jak dotąd inwestycja polskiej wytwórni filmowej w amerykańską produkcję. Równolegle wytwórnia filmowa Tyczyńskiego bierze udział w produkcji nowego filmu Andrzeja Saramonowicza „Jak się pozbyć cellulitu”, który firma Saramonowicza San Graal realizuje we współpracy z Warner Bros.

Miejsce publikacji:

strony lokalne Gazety Wyborczej – Kraków nr 198, wydanie z dnia 25/08/2010, str. 7

Wkrótce studio ruszy też z pierwszą samodzielną produkcją. W technice trójwymiarowej zostanie sfil-mowany musical „Szalona lokomotywa”, oparty na tekstach Witkacego i muzyce Marka Grechuty oraz Jana Kantego Pawłuśkiewicza. Libretto przygotowuje Krzysztof Jasiński.

Wszystko to wygląda jak spełnienie „American dream”, tyle że w Polsce i przy wsparciu unijnej dotacji.

A więc bajka?

Niestety, nie do końca. Firma narzeka na brak zjazdu z autostrady w prawo – jadąc od Krakowa – na istniejącą drogę w stronę Krzeszowic, którym można by łatwo dojechać do wytwórni. Taki zjazd prowadzący do studia przez wiadukt nad autostradą jest na przeciwległej nitce od strony Katowic. Więc żeby tu dostać się autostradą z Krakowa, trzeba nawracać w Chrzanowie i nadrabiać jakieś 20 kilometrów drogi.

– Pytamy, kto i jakim prawem, zezwolił na zamknięcie kilkunastu zjazdów, w tym do Krzeszowic czy Alwer-ni? – denerwuje się Kalinowski.

MARTYNA RADŁOWSKA-OBRUSNÍK

Powietrze w regionie: koniec z demagogią nastaje czas faktów

REGION (Morawsko-śląskie, Śląskie, i-region.eu) Wkrótce nastąpi koniec dyskusji o tym kto komu bardziej zatruwa powietrze, czy Czesi Polakom, czy Polacy Czechom. Ruszyła bowiem budowa on-line systemu informacyjnego o jakości powietrza na obszarze pogranicza polsko-czeskiego w rejonie Śląska i Moraw.

Jak poinformowano dziennikarzy na środowowej konferencji prasowej w Ostrawie, chodzi o stworzenie w ciągu roku stron internetowych monitorujących stan zanieczyszczenia powietrza, prognozujących zagrożenia, a w konsekwencji ostrzegających ludność przed ryzykami z nimi związanymi.

Już od wiosny powietrze na terenie „od Katowic do Opawy” (a dokładniej na czeskiej stronie okolic miast – Bogumin, Czeski Cieszyn, Karwina, Karniów, Ostra-

wa, Trzyniec, Novy Jiczyn i Opawa; na polskiej – Brenna, Cieszyn, Jastrzębie Zdrój, Rybnik, Racibórz, Skoczów, Ustroń i Zebrzydowice) będzie szczegółowo mierzone.

Dotychczasowe systemy narodowych monitoringów zostaną wzmocnione o sześć mobilnych stacji mierzenia zanieczyszczeń powietrza przesuwanych do newralgicznych miejsc (tak by mierzyły koncentrację zanieczyszczeń minimalnie osiem tygodni w roku), specjalistyczne auto pomiarowe (Instytutu Zdrowia w Ostrawie), a także mierzeniem z samolotu (pozwoli stwierdzić poziom rozpylenia zanieczyszczeń). Mierzone będą skażenia m.in. pyłem zawieszonym, tlenkiem siarki i tlenkiem azotu, czy specyficznymi dla przemysłu metalami ciężkimi. „Będziemy mierzyć ziarnowe zanieczyszczenia ultradrobnych cząstek

w rozmiarach nanometrowych, które negatywnie wpływają na stan zdrowia populacji,” zaznaczyła na konferencji dr Małgorzata Wysocka z Głównego Instytutu Górniczo-energetyki w Katowicach.

Pomiary z uwzględnieniem sytuacji meteorologicznej (za tę bazę danych odpowiedzialne będą Czeski Instytut Hydro-Meteorologiczny w Ostrawie oraz Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej - oddział katowicki) pozwolą „wypracować algorytm prognozowania stężeń skażeń,” jak podkreślił dr Leszek Ośródka z tej drugiej instytucji.

Z kolei Instytut Podstaw Inżynierii Środowiska PAN zajmujący się sterowaniem i ochroną środowiska naturalnego na terenach uprzemysłowionych wraz z podsumowującą wyniki pomiarów na czeskiej stronie Wyższą Szkołą Górniczą-Uniwersytetem Technicznym, postara się stworzyć warunki do „wzięcia wzięcia wzięcia pod kontrolę”.

„Stwierdzimy źródła i przyczyny tego, jakie jest zanieczyszczenie powietrza w regionie. Stworzymy model ruchu powietrza i rozpylenia się zanieczyszczeń tak przemysłowych, komunikacyjnych, jak i niedocenianych w swojej szkodliwości, źródeł lokalnych,” powiedział doc. Petr Jančík z VSB-TU.

System już ruszył: w 13-tysięcznych Zebrzydowicach w ubiegłym tygodniu uruchomiono pracę dwóch mobilnych stacji pomiarowych.

„To krok do przodu w staraniach o poprawę jakości życia mieszkańców pogranicza. Nie jest tak istotne kto kogo truje - mamy wspólny problem i staramy się znaleźć jego racjonalne rozwiązanie,” mówi Andrzej

Kondziołka, wójt Zebrzydowic zaznaczając, że dobrze mu się współpracuje z Czechami. „Nie tylko w sprawie powietrza, ale i szkód górniczych, które rozwiązujemy już od przeszło dziesięciu lat,” zauważa.

To pierwszy, autorski i de facto tworzący nowe know-how czesko-polski projekt badania stanu zanieczyszczenia powietrza oparty na ujednoczonej metodologii. „Skażenie tego terenu (polskiego Górnego i czeskiego Śląska-red.) należy do największych w Europie i dlatego z czeskimi kolegami podjęliśmy ten wysiłek,” zaznaczyła M. Wysocka, obok P. Jančíka pomysłodawczyni przedsięwzięcia.

Opracowanie systemu, który ma działać przez pięć lat, kosztuje kasę Unii Europejskiej (Fundusz Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej RC-RP 2007-2013) 1,7 mln euro plus koofinansowanie 15 procent od tej sumy przez państwa narodowe - Polskę i Republikę Czeską.

Leszek Ośródka z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej Zakładu Monitoringu i Modelowania Zanieczyszczeń Powietrza mówi, że: „To pierwsza od wielu lat inicjatywa polsko-czeska, która integruje jak gdyby dwa systemy - system czeski i polski. Wiemy o tym, że mieszkamy w jednym z najbardziej zurbanizowanych rejonów Europy Środkowej i zarówno po polskiej, jak i po czeskiej stronie są problemy z jakością powietrza.

Dotąd rozwiązywaliśmy te problemy osobno. W tej chwili, dzięki programom UE powstała możliwość zintegrowania działań. Sama metodyka ochrony powietrza jest podobna po obu stronach, choć w

szczegółach różni się - były stosowane inne modele rozmieszczenia zanieczyszczeń, inne systemy prognozowania itd. Ideą projektu jest połączenie tego w całość i sprawdzenie - zarówno metodyką polską, jak i czeską, jak wygląda rozkład zanieczyszczeń, a co więcej prognozowanie sytuacji, w której te zanieczyszczenia mogą wzrastać. W tej chwili rozpoczynamy projekt. Jego konsekwencją będzie wspólna ocena. Na końcowe rezultaty badań musimy poczekać jeszcze dwa lata.”

Jak dodaje L. Ośródka ten projekt będzie odbijał europejski trend zmniejszenia emisji przemysłowych. „My przedstawiamy diagnozę, będziemy prognozować sytuacje niekorzystne, ale ten model - w miarę zamiany sytuacji i ograniczania emisji - może równie dobrze przekształcić się w poglądowy. Celem pośrednim - edukacyjnym - tego projektu jest uświadomienie społeczeństwu, że niebezpieczne zanieczyszczenia powinniśmy ograniczać przede wszystkim przez redukcję emisji.”

Miejsce publikacji:

<http://www.i-region.eu/pl/sposobnosc/powietrze-w-regionie-koniec-z-demagogi-nastaje-czas-faktow>

BARTŁOMIEJ KURAŚ

Betonowy Dunajec

Prywatni inwestorzy chcą zbudować na Dunajcu aż 33 elektrownie wodne. Jeśli ich plany zostaną zrealizowane, to rzeka co kilka kilometrów zostanie przecięta betonowymi budowlami. Protestują przyrodnicy, wędkarze i kajakarze

Do Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Krakowie do końca września wpłynęły 33 wnioski o budowę elektrowni wodnych na Dunajcu. I najpewniej nie są to wszystkie inwestycje planowane na tej rzece. Urzędnicy spodziewają się kolejnych wniosków, bo inwestorzy zwiertzyli dobry interes. Polska zobowiązała się, że część energii będzie produkować z odnawialnych źródeł. Dlatego Unia Europejska dopłaca do budowy każdej elektrowni wodnej, a inwestor ma czysty zysk ze sprzedaży energii elektrycznej. Zainteresowanie budową elektrowni wodnych prze-

rosło nasze najśmielsze oczekiwania. Najwięcej z nich dotyczy Dunajca, bo to rzeka o dobrych parametrach dla elektrowni, charakteryzująca się dużym spadkiem – mówi Jerzy Grela, dyrektor Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Krakowie. Najwięcej elektrowni na Dunajcu – 22 – planuje się zbudować pomiędzy zbiornikiem w Czchowie a ujściem do Wisły na północ od Tarnowa. Kolejnych 11 miałyby powstać na górskim odcinku rzeki między Nowym Targiem a Nowym Sączem. Wystarczy, że pozwolenie na budowę wyda miejscowy samorząd. Na budowę zapory wraz z niewielką elektrownią na Dunajcu zgodziły się już władze Łącka. – Przy okazji tamy zbudujemy też most przez Dunajec. Spiętrzenie wody spowoduje powstanie niewielkiego zalewu o powierzchni około dwóch hektarów – argumentuje wójt Franciszek Młynarczyk.

Łącka inwestycja na Dunajcu uzyskała już zgodę Regionalnego Zarządu Gospodarki Wodnej w Krakowie. Podobne jak Łącko plany mają inne miejscowości regionu: m.in. Tylmanowa w gminie Ochotnica Dolna, Krościenko, Dębno, Nowy Targ. Na dwóch dopływach Dunajca – Białym i Czarnym Dunajcu – ma powstać kolejnych 10 elektrowni. W sumie w całej Małopolsce złożono wnioski o zbudowanie ponad 60 takich maszyn (po Dunajcu najwięcej na Skawie – 7 i Rabie – 6). – Zaczęliśmy rozpatrywać poszczególne wnioski pod względem technicznym. Jeśli dany projekt spełnia wszystkie normy techniczne, to właściwie nie mamy możliwości odmówienia jego pozytywnego zaopiniowania. Zastanawiamy się, co z tym zrobić, bo w niektórych miejscach Dunajca inwestorzy chcą stawiać elektrownię przy elektrowni. Dlatego do końca roku chcemy opracować nowy plan postępowania dla inwestorów chcących budować elektrownie wodne, by nie dochodziło do takiej sytuacji jak na Dunajcu – dodaje dyrektor Grela. Plan budzą protesty, bo budowle nieodwracalnie zmieniają charakter rzeki. Powstał już Klub Przyjaciół Dunajca, który w specjalnym apelu pisze m.in.: „Stanowczo protestujemy przeciwko nieodwracalnemu zniszczeniu najpiękniejszej górskiej rzeki naszego kraju!”. – Nastąpią nieodwracalne zmiany w wędrówkach tarłowych ryb, niektóre ryby znikną z Dunajca, dno rzeki zostanie zamulone i będą się w niej gromadzić nieczystości – tłumaczy Jacek Płachecki z KPD. – Korzyści płynące z pozyskiwania energii będą niewspółmierne do strat, jakie poniesie przyroda i korzystający z niej ludzie. Dunajec to bezcenny skarb, a sięga-

nie po to narodowe dziedzictwo w celu osiągnięcia finansowych korzyści jest zwykłym barbarzyństwem! Pomysł nie podoba się także kajakarzom, którzy nie będą mogli już spływać tą rzeką. A ekolodzy zamierzają zainteresować sprawą służby ochrony środowiska. – Elektrownia wodna, która daje czystą energię, może zatracić swój ekologiczny charakter, jeśli jej budowa zniszczy przyrodę. A Dunajec z pewnością stanie się martwą rzeką, gdy zostanie zrealizowany plan budowy 33 elektrowni wodnych – mówi Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot. – Służby ochrony środowiska mogą w porę nie zareagować na to zjawisko, bo inspektorzy opiniują pojedyncze inwestycje, każdą z osobna. Jedna elektrownia nie wyrządzi wielkiej szkody, więc uzyskuje pozytywną opinię, ale kilkadziesiąt takich inwestycji w ciągu kilku lat zabije rzekę. Dlatego zamierzamy interweniować u osób odpowiedzialnych za ochronę środowiska – zapowiada Ślusarczyk.

KOMENTARZ:

ZBYT DROGIE KILOWATY

Możliwość łatwego zarobienia pieniędzy spowodowała zainteresowanie inwestorów budową elektrowni wodnych. Rachunek jest prosty: pieniądze na budowę dostaną z Unii Europejskiej, a wyprodukowany prąd sprzedadzą. To wręcz złoty interes. Tak złoty, że przedsiębiorcy chętnie by zabetonowali prawie cały Dunajec. Służby, które pilnują budowy elektrowni, nie wiedzą, jak sobie z tym poradzić, bo to dla nich nowe zjawisko. Muszą szybko wypracować procedury, bo

inaczej beton na całe wieki zaleje Dunajec. I już nikt nie będzie chciał tu przyjechać popływać kajakiem, powędkować czy zwyczajnie odpocząć nad brzegiem

rzeki. Kilowaty z elektrowni wodnych z pewnością nie zrekompensują tych strat.

PLCZ

Nagroda czytelników

Miejsce publikacji:

strony lokalne Gazety Wyborczej - Kraków nr 238, wydanie z dnia 10/10/2009 Jedyńka, str. 1

FILIP ŻBIKOWSKI

Fantastyczna impreza

Wczoraj zakończył się czterodniowy Polcon – największy i najstarszy konwent miłośników fantastyki w kraju. Co roku jest on organizowany w innym mieście, 2011 został przejęty przez stolicę Wielkopolski.

Poznań pokazał Moc. 2500 osób z Polski i nie tylko odwiedziło przez ostatni weekend (25-28 sierpnia) teren Międzynarodowych Targów Poznańskich. Codziennie od rana/popołudnia do wieczora setki wielbicieli science-fiction i fantasy bawiło się do utraty tchu (w nocy imprezy przyjmowały bardziej nieformalny charakter i niektórzy z uczestników zaciekle trenowali poruszanie się w nieważkości i loty paraboliczne). Porządku pilnował polski garnizon Legionu 501 – organizacji złożonej głównie z w pełni umundurowanych szturmowców Imperium i Rebeliantów. Zaciekli wrogowie, uginając się pod wyżej wspomnia-

ną Mocą, zrezygnowali z konfliktu na rzecz pobłażliwego instruowania zdębiałych ochroniarzy kompleksu MTP.

Niezwykle bogaty program oferował mnóstwo atrakcji dla rzeszy ludzi w każdym przedziale wiekowym. Przykładowo, gdy rodzice słuchali wspomnień znanego eseisty i tłumacza Lecha Jęczmyka (tym razem lejt-motywytem były wizyty w radzieckim związku literatów, gdzie – jak wiadomo, oszczędnie – łało się wódkę tylko do połowy szklanek), maluchy mogły radośnie mazać po sobie ekologicznymi i zmywalnymi pisakami, upodabniając się do elfa czy też przedstawiciela planety Qo'noS. Sale multimedialne, komputerowe i przeznaczone do LARP-ów (gry terenowe podobne do improwizowanych sztuk teatralnych) przyciągały młodzież, starsi chętnie wybierali prelekcje i na-

ukowe wykłady z astronomii, fizyki, historii, etnografii czy biotechnologii. Właściwie największym problemem był fakt, że rozmaite bloki tematyczne odbywały w tych samych godzinach i trzeba było często podejmować trudne decyzje (umiejętność bilokacji to niestety wciąż niepotwierdzone zjawisko paranormalne). Jednym z ciekawszych gości Polconu był na pewno znany pisarz Jacek Dukaj. Laureat wielu nagród, m.in. Europejskiej Nagrody Literackiej za powieść *Lód*. Katedra, film animowany Tomasza Bagińskiego na podstawie opowiadania Dukaja został w 2003 roku nominowany do Oscara. Pochodzący z Tarnowa autor był wielokrotnie nominowany i honorowany najważniejszym polskim wyróżnieniem fandomowym, czyli nagrodą im. Janusza A. Zajdla. Także w tym roku otrzymał je wraz z koleżanką Anną Kańtoch. Niestety, nie obyło się bez nieprzyjemnego zgrzytu, bowiem ktoś próbował przy głosowaniu manipulować i cztery głosy musiano unieważnić. Jacek Dukaj nie od dziś

ma dość ambiwalentny stosunek do polskiego środowiska SF, czemu zresztą nie omieszkał dać wyrazu, komentując pokonanie reszty zgłoszonych do konkursu twórców. Nawiązał do oskarowej gali i popularnego tam kokietowania kontrkandydatów przez zwycięzców, że „to zaszczyt, w takim szanownym towarzystwie, etc.” i skwitował: – A przecież to wierutna bzdura. Po czym zszedł ze sceny, wymachując od niechcenia statuetką.

Wadą konwentu było niewątpliwie to, że część ofert programowych została w ostatniej chwili odwołana. Wprawdzie w natłoku wydarzeń nie sprawiało to większości zlotowiczów jakiegoś specjalnego kłopotu, jednak dla osób nastawionych na konkretne panele mogło być (i było) niemiłą niespodzianką.

Na koniec nie pozostaje nic innego jak zaprosić chętnych na marcowy Pyrkon. Jak sama nazwa wskazuje, jest to regionalny konwent organizowany przez poznański klub *Druga Era*.

Miejsce publikacji:

Portal internetowy „Neteor”, 29.08.2011

KRISTIÁN ŠUJAN

Kobieta podarowała okradzionemu emerytowi dziewięć tysięcy koron

Szczęśliwy koniec ma historia 74-letniego Josefa Antala z miejscowości Hruškové. 22. czerwca odwiedziła go ciemnoskóra kobieta, która udawała kontrolerkę elektryczności w jego domu. – Powiedziała mi, że elektrownia oddelegowała ją do przeprowadzenia kontroli prądu w moim domu. Dałem jej portfel, z którego wyciągnęła cztery tysiące koron, a dodatkowo zabrała mi ze stołu dwa telefony komórkowe – opisuje ławowierny emeryt. Na koniec oszustka go jeszcze brutalnie napadła, wyciągnęła mu z kieszeni emeryturę w wysokości ponad dwóch tysięcy koron i zamknęła w domu. Aby się wydostać, musiał użyć siekiery. – Wyważyłem drzwi, ale zanim wybiegłem na zewnątrz, złodziejki już nie było. Wskoczyła do samochodu i odjechała... Teraz nie mam co jeść, zostałem bez korony – zwierzył się Antal.

O wydarzeniu jako pierwszy informował Sokolovský

deník, a potem nagłośniła ją telewizja Prima. Do reporterów telewizyjnych za parę dni odezwała się Michaela z rejonu Liberecká, która zdecydowała się pomóc poszkodowanemu. – Było mi szkoda tego pana, a kiedy się dowiedziałam, że mu ciągle nikt nie pomógł, zdecydowaliśmy się z mężem i z synem dać mu dziewięć tysięcy koron – powiedziała Buňata, która zaznaczyła również, że jeśli Josef Antal będzie tym zainteresowany, pomoże mu załatwić również dom opieki. – Zdenerwowało mnie, że nie pomogło mu miasto Sokolov – dodała szczodra kobieta i ostrzegła, aby Antal nie wpuszczał już nikogo obcego do domu. Sztab Telewizji Prima osobiście przekazał okradzionemu emerytowi darowaną kwotę, – W ogóle nie mógł w to uwierzyć. Pieniądze przyjął z wdzięcznością, darczyńcy dziękuje i na pewno będzie się za nią modlić – podsumowała redaktor Telewizji Prima, Lída Pavelková.

Miejsce publikacji:

Sokolovský deník, 1. sierpnia 2011,

MILENA UŚCIŃSKA

Rząd załatwił szwaczki?

Dwie firmy – Karlen i Kama – zajmują jedną halę. Pracownicy pierwszej z tych firm tracą pracę

Ostrowska Kama powstała w 1992 roku. Od samego początku firma zajmowała się wytwarzaniem materiałów i szyciem z nich ubrań, m.in. dla wojska, policji i innych służb mundurowych.

Kiedy Kama stanęła twardo na nogach, pojawiła się możliwość zwiększenia zatrudnienia. W 1997 powstała druga firma, Karlen, która wykonywała zlecenia Kamy. Pracownicy obu przedsiębiorstw korzystali z jednej hali: na pierwszą zmianę Kama, na drugą Karlen.

W Karlenie pracuje ponad 220 osób. Teraz, z powodu braku zamówień, wszyscy tracą pracę.

- Kiedy firma Kama się rozwijała, pojawiła się możliwość, aby zwiększyć zatrudnienie – tłumaczy Andrzej

Morawski, prezes zarządu Kamy, a zarazem dyrektor firmy Karlen. -

To wtedy pojawiła się koncepcja, żeby stworzyć drugą firmę. Tak się stało. Zatrudniliśmy kolejnych ludzi. Chodziło o możliwość zwiększenia produkcji. Kama pracowała na jedną zmianę, a Karlen na drugą. Już po półtora roku, firma Karlen dała pracę około 250 osobom – przede wszystkim kobietom.

Z ręką w nocniku

Jak mówi Morawski, problemy zaczęły się wraz z pojawieniem się kryzysu. Zmusił on rząd do szukania oszczędności, co odbiło się na Kamie. Firma nie dostała zamówień, które pozwoliłyby utrzymać Karlen.

- Na początku grudnia dostaliśmy informację, że za-

mówień nie będzie – mówi Andrzej Morawski. - Do tej pory, kiedy współpraca z MON, policją, strażą graniczną, a nawet BOR i innymi służbami, była ustabilizowana, informację o tym, kiedy odbędą się przetargi, dostawaliśmy pod koniec roku, w grudniu. Tym razem dostaliśmy pismo, że w tym roku zamówień nie będzie, bo minister obrony narodowej uznał, że nie mamy wrogów, wojsko nie jest potrzebne, więc mundury też.

W grudniu odbyło się spotkanie udziałowców firmy, a po świętach zapadła decyzja, że trzeba postawić Karlen w stan upadłości. Wspólnicy doszli do wniosku, że nie chcą kontynuować działalności, bo utrzymanie wszystkich pracowników kosztuje ok. 0,5 mln złotych miesięcznie. A z powodu braku zamówień, nie ma dla nich pracy.

- Zostaliśmy z ręką w nocniku – mówi Morawski. - To było dla nas zaskoczenie. Zawsze były jakieś zamówienia: mniejsze lub większe, w porównaniu z poprzednimi latami, było ich coraz mniej, a teraz praktycznie zero.

Według prezesa Morawskiego, decyzja rządu jest nieodpowiedzialna. Szukanie oszczędności może doprowadzić do upadku ostatnich już w kraju firm, które zajmują się szyciem umundurowania dla wojska.

- Została tylko jedna firma w Polsce, która robi materiał z kamuflażem – mówi Morawski. - A firm, które szyją dla wojska i stają do przetargów zostało cztery. Są w takiej samej sytuacji jak my, albo jeszcze gorszej. Prezes pokazuje kilka artykułów prasowych, w których żąda się odwołania ministra Bogdana Klicha z powodu kontrowersji wokół przetargów.

A co z Kamą? W przeciwieństwie do przedsiębiorstwa Karlen, Kama posiada majątek własny i nawet bez dużych zamówień, przetrwa ten rok. Ale jeśli sytuacja się powtórzy i za rok znów nie będzie przetargów, firmam matka podzieli los upadającej w tej chwili córki.

Oni wiedzieli

Dyrektor, prezes Morawski mówi, że pracownicy wiedzieli o złej sytuacji zakładu. Na przykład podczas rozmów o talonach na święta przedstawiciele związków zawodowych usłyszeli, że sytuacja jest tragiczna, bo nie ma zamówień.

Jak twierdzi Dorota Tomaszewska, przewodnicząca Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” przy firmie Kama i Karlen, pracownicy już pół roku wcześniej domyślali się, że dzieje się coś złego. Po miesiącu krążyły plotki o likwidacji zakładu oraz o wyjeździe właścicieli do Torunia i kupionym tam zakładzie odzieżowym. Jednak pytania o przyszłość firmy, kierowane do pracodawców, wciąż zostawały bez odpowiedzi.

- Na jednym ze spotkań z Joanną Powęzką, współwłaścicielką firmy Karlen, zapytałam wprost, czy to prawda, że zakład ma być zlikwidowany – mówi Tomaszewska. - Okazało się, że to nieprawda. Powiedziała, że nie po to włożyła tyle serca w zakład, by go teraz zlikwidować.

- To było 3-4 miesiące przed złożeniem wniosku o likwidację – dodaje sekretarz międzyzakładowej „Solidarności”, Bożena Myślewska. - Przed świętami pani prezes również przychodziła do nas na halę i zaprzeczyła krążącym plotkom.

Właśnie wtedy, przed świętami, pracownicy zostali poproszeni o 12-godzinną pracę, zamiast - tak jak zwykle - 8-godzinnej. Okazało się, że jest nagle zamówienie, które trzeba zrealizować, mimo że pracownicy mieli mieć wtedy wolne.

- Pracowaliśmy do wtorku przed wigilią, a 28 grudnia na posiedzeniu zarządu zapadła decyzja o upadłości lub likwidacji spółki - Tomaszewska pokazuje pismo od zarządu. - Mamy Radę Pracowniczą, która przede wszystkim powinna być poinformowana o zmianach planowanych w zakładzie. Do 4 stycznia nie dotarła do nas żadna oficjalna informacja w sprawie likwidacji, więc tego dnia, złożyłam pismo z prośbą o odpowiedź. Wcześniej, gdy razem z koleżanką pytałyśmy o sytuację zakładu, wymigiwano się od odpowiedzi. A na pismo z 5 stycznia dostałam odpowiedź, że to prawda. Wtedy pan Morawski powiesił na tablicy pismo z taką samą informacją, którą otrzymała Rada Pracownicza. To 28 grudnia zapadła decyzja, a 31 grudnia złożono wniosek o likwidację. Do samego końca trzymali to w tajemnicy, nie przygotowując nas na to, co będzie się dziać. To było nie fair. Przecież jest przepis, że obowiązkiem pracodawcy jest poinformowanie przede wszystkim Rady Pracowniczej o jakichkolwiek zmianach planowanych w zakładzie pracy.

- Wszystko działo się szybko - mówi Andrzej Morawski. - O tym, że nie będzie zamówień, dowiedzieliśmy się w pierwszej dekadzie grudnia. Nie wiedziałem, co wspólnicy mieli zamiar zrobić, dopiero na walnym zgromadzeniu po świętach, podjęto decyzję o upadłości. Wcześniej nie mogłem przekazać takiej infor-

macji, bo to udziałowcy muszą podjąć decyzję, nie ja. W dokumencie, który został przyklejony do tablicy, pracownicy mogli przeczytać, że „spółka jest zmuszona rozwiązać umowę o pracę z jej pracownikami z powodu trudnej sytuacji finansowej firmy”. Zła sytuacja wynikała z braku zamówień i brakiem szans na zamówienia na rok 2010.

Czujemy się oszukani

Pracownicy mają pretensje do pracodawców, dlaczego nie udzielili im szczerzej odpowiedzi na pytania związane z przyszłością firmy. Trzymanie ludzi w niepewności postawiło wielu z nich w bardzo trudnej sytuacji.

- W październiku wzięłam w banku pożyczkę na 3 lata, którą teraz muszę spłacać - mówi przewodnicząca związków. - Kto mi ją spłaci, skoro nawet jeszcze nie otrzymałam pensji za grudzień? Zostałyśmy oszukane z premedytacją. Kiedy trzeba było wywiązać się z nagłych zamówień, zawsze pracowałyśmy i zostawałyśmy na nadgodziny. Gdy trzeba było przyjść do pracy, przychodziłyśmy, solidnie wywiązywałyśmy się ze swoich obowiązków, mimo że dowiadywałyśmy się o dodatkowej pracy w ostatniej chwili. Nie powinno się tak traktować pracowników, którzy pracują dla kogoś od kilkunastu lat.

Bez grudniowej pensji

Pracownicy mają też pretensje o niewypłacone pensje. W grudniu były większe, bo kobiety pracowały po 12 godzin.

- Mieliśmy zamówienie w grudniu i rzeczywiście ludzie pracowali dłużej - tłumaczy Andrzej Morawski. - Jednak firma płaciła uczciwie składki m.in. na fundusz świadczeń gwarantowanych, a po to on jest, żeby firma mogła wypłacić należne pieniądze pracownikom.

- Nie mamy za co żyć - mówi Dorota Tomaszewska. - Część kobiet samotnie wychowuje rodziny, dlatego czeka każdego dziesiątego jak zbawienia. A tu dwa dni przed wypłatą dowiadują się, że jej nie dostaną. To szok, dramat i tragedia. Niektóre panie nie mają nawet od kogo pożyczyć pieniędzy. Płaczą, kładą się spać ze łzami w oczach i ze łzami w oczach wstają.

- Ci ludzie są w sytuacji dramatycznej i nie dziwie się ich zdenerwowaniu - mówi Morawski. - Ja również jestem zatrudnionym tu pracownikiem. Co mogę po-

wiedzieć? Mogę tylko współczuć. Do takich rzeczy nie powinno się dopuszczać.

Co dalej?

Do sądu wpłynął wniosek o upadłości firmy Karlen. 27 stycznia sąd uwzględnił ten wniosek, co oznacza, że w firmie pojawi się syndyk.

Dzień później premier Tusk obwieścił uroczyście, że Polska jest liderem rozwoju gospodarczego...

A pracownice? Już szukają nowej pracy. W swoim zawodzie mogą ją znaleźć, ale w okolicach Warszawy. Tylko niektóre zdecydują się na to. To oznacza, że w Ostrowi i okolicach wydatnie wzrośnie bezrobocie.

Miejsce publikacji:

Tygodnik Ostrołęcki, mutacja: „Tygodnik w Ostrowi Mazowieckiej”, numer z dnia 2. lutego 2010, s.6-7

JANUSZ WŁODARCZYK

Przydzielają pieniądze swoim stowarzyszeniom

Zob. nominacje kategorii: Polityka i instytucje lokalne

ADAM HUDEC

Potrawy hradeckie: włochate bosáki, žahour i vejmrda

Również pod dziwną nazwą może skrywać się smaczne jedzenie z ciekawą historią. Zakudlanka, kočičák, friko albo cmunda.

Jeśli któraś z hradeckich babć zaproponuje swoim przybyłym z daleka kuzynom vejmrde, najpewniej pomyślą sobie, że robi sobie z nich żarty albo płacze jej się język. Ale kiedy przyjmą propozycję, dostaną do spróbowania pyszną mieszankę posiekanych jabłek, chrzanu, octu i bulionu wołowego. Niektóre z potraw hradeckich mają również ciekawą historię, przykładowo jedna z nich już przed stu laty przyniosła mieszkańcom Jindřichowego Hradca przezwisko.

1. Žahour (staroczeska polewa jagodowa – przyp.tłum.)

Kiedy wypowiemy słowo „žahour”, większości miej-

scowym zaczniesz cieknąć z ust ślinka aż do ziemi. Pomyślą bowiem o gęstym, jagodowym sosie, w którym pływają twarogowe knedle, naleśniki czy bułeczki. Dla prawidłowego smaku trzeba jednak zrobić o wiele więcej, niż tylko rozgotować owoce leśne z cukrem. Do sosu trzeba dodatkowo dolać śmietanę i masło ze szczyptą mąki lub skrobi.

- Babcia uczyła mnie zagęszczać žahour budyniem – wspomina pięćdziesięciosześcioletnia księgowa Dana Hrušková. - Mój syn z córką uwielbiali knedle polane sosem jagodowym od małego. Już dawno nie mieszkają w domu, ale każdego roku pytają czy ugotuję im to danie na ich następne odwiedziny – śmieje się. Žahour nie jest w regionie Hradca żadną nowością. Już w szesnastym wieku dzięki smakołykowi z leśnych owoców, tartego piernika i cukru, wieśniacy z połu-

dnia Czech nadali mieszkańcom Jindřichovego Hradca przezwisko „žahúry”.

2. Šterc

- Šterc w smaku i wyglądzie bardzo przypomina to, co ludzie znają zwykle jako rwaki (škubánki) z makiem – wyjaśnia sprzedawczyni Eva Máchová.

- Łatwo jest je przygotować. Dzień wcześniej ucieram ziemniaki i dodaję podsmażoną na maśle mąkę. Później na talerzu trzeba šterc lub inaczej vošouch posypać grubą warstwą słodkiego maku ugotowanego na mleku. Najlepiej jest go zapijać maślanką, ale niech Pan spróbuje to wyjaśnić dzieciom, które jej nie znoszą – śmieje się Máchová.

Przepis z internetowego serwisu vareni.cz doradza kucharzom, aby zastąpili mak startą czekoladą lub słodzonym twarożkiem i aby spróbowali do tej potrawy podawać białą kawę. Strona labuznik.com z kolei radzi ugotować šterc, zwany także vošouchem, z podsmażoną cebulką, grzybami, skwarkami i kapustą.

3. Hlavička

Hlavička, którą znają przeważnie starsi ludzie również pod nazwą nádivka, to typowa potrawa wiosenna. Z dwóch powodów. Oprócz tego, że zgodnie ze zwyczajem podaje się ją w Wielkanoc, dodaje się do niej również świeże pokrzywy.

Nádivka może przypominać dziwny, słony kołacz. Do gęstej kaszy manny i mleka dodaje się jajka, pokrojone bułki, posiekane wędzone mięso i trochę ziół.

I miskę porwanych na kawałki pokrzyw. Następnie taką mieszaninę się zapieka. Gotową hlavičkę podaje się pokrojoną w kostkę.

- Można ją jeść na ciepło lub zimno – mówi Jana Šimková, którą tę wielkanocną potrawę nauczyła przygotowywać jej teściowa – W domu robię ją tylko w Wielkanoc. I chociaż powinno się do niej dodawać młode pokrzywy, ja chętniej dodaję por. Moje znajome dodają tam również suszone grzyby.

4. Bosáky

Bosáky, drbance, klouzáky albo po prostu włochate knedle. I choć żadna z nazw nie brzmi zbyt przyciągająco, typowe hradeckie knedle goszczą w jadłospisie Hradczan całkiem często.

- Robi je się z utartych surowych ziemniaków, z których trzeba wycisnąć zbędną wodę – przybliży sposób przygotowania siedemdziesięciosześcioletnia emerytka Vlasta Kůrková. – Wcześniej mieliśmy do tego taką specjalną maszynkę, prasę. Teraz już trzeba wodę wyciskać ręcznie. To jest w zasadzie w przygotowaniu tego dania najbardziej skomplikowane.

Sam przepis nie jest trudny dla doświadczony kucharzki. Do ziemniaczanej masy wystarczy dodać mąkę, sól i jajka. Kucharka gotowe ciasto wałkuje albo wykraja knedle, które gotuje później na wodzie a później przez dłuższy czas odcedza.

- Bosaki są przepyszne z gulaszem, mięsem wieprzowym i kapustą tylko lekko podsmażone na patelni z jajkiem – radzi Kůrková. – Moim znajomym smakują, tylko wnuczek się skarży, że są oślizgłe. To już po prostu inna generacja – dodaje.

5. Kulajda

W tej gęstej, śmietanowej zupie z ziemniakami zgodnie z przepisem powinny się znaleźć przeróżne grzyby, czy to świeże czy suszone, głosi już na początku kilka receptur w Internecie.

Pięćdziesięcioletnia kucharka z przedszkola Dana Hynková ma jednak inne zdanie. – Dzieci w przedszkolu wyciągały nam grzyby z zupy. Zastąpiłyśmy je więc koprem i od razu im jedzenie bardziej smakowało. Istnieje wiele wersji dania. Kto ją przygotowuje z kurkami, dostanie zupę, która nie jest tak ciemna. Mój mąż się zawsze cieszy, kiedy w domu do kulajdy dodam jajeczko, czy to ugotowane czy rozbełtane – mówi Hynková.

Gotując kulajdę trzeba być ostrożnym, aby zupa nie była zbyt przekwaszona octem. Według książki kucharskiej z południowych Czech bardzo trudno później zrównoważyć jej smak i odzyskać zupę.

6. Kosmatice

Przygotowanie sobie kotleta z kwiatu czarnego bzu może dla wielu być szalonym pomysłem. Jednak przepis na kosmaticę w ostatnich latach wrócił do mody. I świętuje sukces.

Kwiaty bzu panieruje się w cieście z mleka, jajek i delikatnej maki – mówi czterdziestodwuletni ślusarz Jiří Pospíšil. – Ja chętnie do niego dodaję piwo, wydaje mi się, że w ten sposób kosmatice lepiej sma-

kują. No więc później wystarczy tylko smażyć i jeść – dodaje.

Tego dziwnego smakołyku nauczyła Pospíšila jego szwagierka. Jak mówi, ta zamiast piwa dodawała do ciasta miód i gotowe kosmatice obtaczała w cukrze cyjamonowym. Kiedy sobie je zażyczyła na słono, dodawała cienkie płatki szynki i sera. – Przynajmniej raz w roku ludzie nie powinni chodzić po kotlety do rzeźnika, ale do przyrody – podsumowuje

7. Zelníky

Wysuszone zielone placuszki, które mają w prawie każdej hradeckiej piekarni, tylko pozornie przypominają te prawdziwe.

- Zelníky albo zelňáky robi się tak, że miesza się mąkę z mniejszymi kawałkami kiszzonej kapusty, pieprzem, kminkiem, sosem z mięsa wieprzowego i jajkiem – mówi czterdziestotrzyletnia kucharka z przedszkola Hana Matoušková. – Potem z ciasta trzeba rozwałkować placuszki, które piecze się w piekarniku – wyjaśnia jeden ze sposobów ich przygotowania.

Z kolei według innych przepisów powinno się przygotować rozwałkowane ciasto, z którego wykraja się kwadraty. Nadziewa je się później kapuścianą mieszaną, natrze białkiem i piecze w piekarniku. Innym wariantem jest rozrzedzenie ciasta mlekiem, wlać do formy i piec jako farsz.

Miejsce publikacji:
MF Sedmička, 15. 8. 2010, s. 2-3

MILAN HLOUŠEK

Szeryf i były więzień z Chodova

Zob. nominacje kategorii: Lokalne problemy społeczne

Autorzy tekstów:

Martyna Radłowska-Obrusník

Absolwentka Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego pracująca w Republice Czeskiej, a m.in. w Głosie Ludu, czesko-polsko-słowackim portalu i-region.eu oraz Czeskim Radio.

Bartłomiej Kuraś

Dziennikarz krakowskiego oddziału „Gazety Wyborczej”, urodzony w Zakopanem, góral z dziada pradziada, specjalizuje się w tekstach o Podhalu i Tatrach.

Libor Michalec

Libor Michalec, urodzony 6.6.1969, ukończył Średnią Przemysłową Szkołę Budowlaną, pracował jako redaktor i redaktor naczelny w tytułach: Severočeský deník, Magazín Koktejl, Magazín Fénix, 21. století, MF DNES, Region Rakovnicka.

Jacek Drost

Dziennikarz bielskiego oddziału „Dziennika Zachodniego”.

Beata Bielecka

Absolwentka polonistyki na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu (1988). Od 1993 roku, przez trzy lata, związana z Gazetą Zachodnią, lokalnym dodatkiem do Gazety Wyborczej. W 1995 roku, wspólnie z Włodzimierzem Nowakiem, nagrodzona przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich za reportaż „Bułki niezgody”. Od 1996 roku pracuje w Gazecie Lubuskiej. W 1996 roku, wspólnie z Dietrichem Schroederem z frankfurckiej gazety Maerkische Oderzeitung nagrodzona tytułem Strażnika Prasy Codziennej („Wächter-Preis der deutschen Tagespresse”) za cykl artykułów o nieprawidłowościach w pracy policji na pograniczu. Mieszka w Słubicach i stąd też pisze m.in. o sytuacji na polsko-niemieckim pograniczu.

Jaroslav Štěpaník

Psycholog, dziennikarz, Brno, południowo-morawski region Republiki Czeskiej

Filip Žbikowski

Pedagog i dziennikarz.

Milena Uścińska

Ma 23 lata, mieszka w Ostrowi Mazowieckiej. Weekendami studentka zaocznego dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, a w tygodniu współpracownik Tygodnika Ostrołęckiego.

Luboš Příhoda

Milan Hloušek

Urodzony 9.11.1978 roku w Krašicach w rejonie Sokolovsko, gdzie dorastał i mieszka dotąd. Skończył Akademię ekonomiczną w Chodowie. Od 2004 roku pracuje jako dziennikarz dla gazety Sokolovský deník.

Kristián Šujan

Urodzony 24. 11. 1990, reporter Dziennika Sokolowskiego, student Uniwersytetu Jana Evangelisty Purkyniego, członek Syndykatu dziennikarzy Republiki Czeskiej

Adam Hudec

Autor, który od małego pragnął stać się dziennikarzem, dostał szansę. Podczas pierwszego roku studiów italianistyki na uniwersytecie, które go w ogóle nie interesowały, dostał propozycję pracy w tygodniku „Sedmička”. W tym regionalnym periodyku spędził dwa lata, następnie zaczął pracować w dzienniku „Jindřichohradecký deník”.

Halina Szczotka

ur. 1978 dziennikarka związana od dwu lat z regionalnym tygodnikiem Horizont. Pracę w mediach rozpoczęła w Głosie Ludu, gazecie Polaków mieszkających w RC, przez jakiś czas współpracowała z miesięcznikiem Zwrot. Publikuje artykuły w języku polskim i czeskim.

Marian Dziadul

Rok urodzenia - 1954. Uczył się w Liceum Ogólnokształcące im. Ks. Elżbiety w Szczecinku. Studiował: rolnictwo w Szczecinie, pedagogikę - w Warszawie i dziennikarstwo - w Poznaniu. Od 1991 roku pracuje - w „Głosie Koszalińskim/Głosie Słupskim”, a po wewnętrznych przekształceniach - w „Głosie. Dzienniku Pomorza”. Publikował reportaże w: Angorze, Panorامية, Przyjaciółce, Pani Domu i Polityce. W 2010 roku (z pomocą macierzystej redakcji) wydał książkę „Znak czasu” - to zbiór wybranych reportaży z lat 1990-2010.

Nataša Vavříková Šmatová

Sprawami społecznymi interesuję się już od dawna, a ponieważ ludzie boją się niepełnosprawnych osób, przedstawiam im ich normalne życie i staram się im w ten sposób pomagać w integracji ze społeczeństwem.

Andrzej Szatan

Urodzony 15.05.1954 w Niemodlinie, absolwent WSP w Opolu, od 1977 do 1991 roku dziennikarz „Trybuny Opolskiej” i „Nowej Trybuny Opolskiej”, od 1991 do 1996 red. naczelny „Gazety Opolskiej”, potem do 2004 roku ponownie w „NTO”. Od 2005 red. naczelny tygodnika „Moje Miasto” w Słupsku, a od 2007 r zastępca red. naczelnego tygodnika „Kulisy Powiatu Olesno Kluczbork”. Autor trzech książek o tematyce sportowej, laureat konkursów im. Rafała Urbana za reportaż.

Agnieszka Pospisyl

Dziennikarka i reporterka związana z tygodnikiem regionalnym „Strzelec Opolski” od 13 lat. Współpracuje z Radiem Opole i „Polityką”. Specjalizuje się w tematyce kryminalnej. Codzienną opieką dziennikarską otacza gminę Strzelce Opolskie, gdzie sprawdza „co w trawie piszczy”.

Janusz Włodarczyk

Janusz Włodarczyk - z wykształcenia pedagog (pedagogika resocjalizacyjna na UMCS w Lublinie), dziennikarz prasowych mediów lokalnych od 204 roku. Obecnie dziennikarz i sekretarz redakcji Tygodnika „Słowo Podlasia” z siedzibą w Białej Podlaskiej. Teren pracy - powiat parczewski.

Hana Kubová

W prasie regionalnej pracuje już ponad dziesięć lat, w większości zajmuje się sprawami kryminalnymi, ale i bieżącymi sprawami regionu. Dziennikarstwo lokalne sprawia jej dużą radość, ceni sobie przede wszystkim relację zwrotną z czytelnikiem.

Łukasz Cieśla

Łukasz Cieśla, lat 29, od ośmiu lat dziennikarz „Głosu Wielkopolskiego”, zajmuje się tematyką dotyczącą przestępczości oraz polityką.